Nr. 9. Warszawa, dnia 17 (29) Lutego 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

UPADNIE CZY NIE UPADNIE?

Dnia 20 b. m., po uchwale, rozgrzeszającej p. Bourgeois wobec narodu, Izba deputowanych znowu zajęła się ową wydętą do rozmiarów kolosalnej nieprawości przygodą dymisyi Ramplera i jego protestu do prokuratora. P. Chaudey ujął się za sprawiedliwość tak srodze obrażoną i zaprotestował przeciwko kierowaniu jej biegiem z gabinetu ministra. Tak być nie powinno, i tak nie będzie. P. Ricard, obrzucony strzałami, odpowiedział: Prawo musi być jednakowem dla bogacza, jak dla chudziny. Wielka ryba najczęściej się przebije, mały kiełbik zawsze uwięźnie. Jedna miara dla wszystkich: jeżeli koleje południowe dostały się teraz w sieć, trzeba zrobić wszystko, aby się z niej nie wydobyły — i znalazły tę sprawiedliwość, o którą Izbie tak chodzi. Jeśli Izba ministrowi zaufa, prawa indywidualne będą uszanowane, rozpoczęta sprawa — szczęśliwie dokonaną, a woli Izby stanie się zadość.

Potem p. Barthou sypie nowe strzały. P. Ribot, b. minister, wyrzuca prezesowi gabinetu potajemne dążenie do rewizyi konstytucyi i do rewolucyi, uważa Bourgeois za manekina w ręku mniejszości, za niewolnika pewnej grupy, zasiadającej po tej stronie Izby, z której dochodzą same tylko wrzaski, wrzawy i hałasy. Wtedy wstaje Bourgeois i mówi: Mógłbym zyskać ogromną większość, gdybym się wyrzekł Ricarda, mógłbym sobie kupić głosy wyparciem się kolegi. Ale to nie mój program—a przy programie mym trwam. Do nikogo nie wyciągam ręki po głos. Kto mnie popiera, z tym idę, nic mu za to nie płacąc. Idziemy wszyscy razem, jak jesteśmy. Nie damy się wziąć pod jarzmo senatu. Nieprawda, że chcemy rewolucyi, że się do niej przymilamy. Nasz program nie jest rewolucyjnym. Dopóki Izba nam ufa, stoimy.—Na to Poincare, także były minister, oddziela sprawiedliwość od polityki, ale sam politykując, z zarzutem tchórzostwa paraduje. Bourgeois daje mu odprawę, która dobrze działa na Izbę.

W głosowaniu *votum* zaufania Sarrien'a przechodzi 283 głosami przeciw 185—około stu nie głosuje. Nieprzychylny porządek dzienny Laserre'a upada 279 głosami przeciwko 234. Pierwsza z tych liczb obejmuje 144 radykalnych, 60 socyalistów, 73 republikanów postępowych, oddawna już nietrzymających z oportunistami i 6 świeżo nawróconych: i to jest obóz republikański rdzenny — prawie połowa Izby, siły niemal równe. Bourgeois nie potrzebuje się spieszyć z zabieraniem manatków. Gdy nazajutrz Demôle w senacie przeprowadzał uchwałę, stwierdzającą dawniejsze postanowienie, minister kilka słów zaledwie przemówił: pewny siebie, nie chciał drażnić. Senat wstrzymał kroki nieprzyjacielskie samą deklaracyą Demôle'a, ale większość liczebna Izby, choć słaba, lecz jako oportunistyczna jakością swoją łatwiej mogąca sztukować ilość niedostateczną, postanowiła koniecznie zwalić, już nie wprost Bourgeois, ale jego politykę, groźną dla przyszłości Francyi.

Wybranie sześciu tylko zwolenników projektu, wprowadzającego podatek od dochodu w postępie rosnącym, jest dowodem niewruszonym takiego postanowienia, które i bez senatu może zapewnić tryumf. Tymczasem przygotowany na klęskę, w nadgruchotanej już łodzi, miał pierwszy minister w Châlons, w niedzielę ubiegłą, mowę, w niej zaś godnym jest zaznaczenia jeden okres, który może być zarówno wstępem do testamentu, jak i wyznaniem wiary na dalszy żywot. P. Bourgeois powiedział:

Republikanie powinni odłożyć na bok swe nieporozumienia wewnętrzne, zbić się w jeden zastęp i ruszyć zjednoczonemi siłami na wrogów demokracyi. Przewodnie idee nasze są takie, że nie potrzebujemy się ich wstydzić. Nie popchęła nas do władzy ambicya osobista. Nie gwałcimy zasad 1789 r., wolność indywidualną szanujemy, lecz chcemy wyzwolić jednych z pod drugich. Nie wzywamy obywateli do wojny domowej — chcemy tylko solidarnej walki wszystkich z przyrodą. Dlatego pragniemy złączyć rozstrzelone siły jednostek, aby człowiekowi zbiorowemu dać pełnię duchowego rozwoju. Oby wszelkie zawiści wzajemne na zawsze zamilkły! Taki jest nasz program.

NOWA USTAWA WYBORCZA.

Ani namiętne żądania radykalnych przywódców, ani groźby zmuszają nas do przedstawienia niniejszej ustawy Izbie." Tymi wyrazami zaznaczył Badeni swoje stanowisko do nowej ustawy wyborczej i zaznaczył je fałszywie. Jakąkolwiekbądź formę przybierze nowa ustawa, w każdym razie będzie ona zwycięztwem żywiołów radykalnych, w danym razie zwycięztwem klasy robotniczej. Jednocześnie z podniesieniem hasła 8-godzinnego dnia podniesiono hasło reformy wyborczej, wszelkie manifestacye czysto robotnicze połączono z żądaniem praw politycznych. Od tego też czasu sprawa stała się aktualną, pobudziła opinię ogółu, zmusiła do zajęcia się nią parlament i ministerya. Hr. Taffe wniósł pierwszy projekt wyborczy. Jego myślą przewodnią było objęcie prawem wyborczem miast i gmin wiejskich, wszystkich umiejących czytać lub służących w wojsku. Projekt upadł, wraz z nim i ministeryum. W r. 1892 nastąpiła koalicya, której głównem zadaniem było opracowanie nowego projektu. W 1894 upadł on, a wraz z nim i ministeryum. Kwestyę poruczono

do rozwiązania Badeniemu. To proste zestawienie faktów pokazuje już, że twierdzenie Badeniego, jakoby działał niezależnie od żywiołów radykalnych, jest faktycznie błędnem. Od samego początku parlament nie miał i nie ma najmniejszej chęci do rozszerzenia prawa wyborczego, działa on pod naciskiem z zewnątrz, pod wpływem „żywiołów radykalnych.“

Dla łatwiejszego zrozumienia zmian, musimy w kilku słowach nakreślić istniejącą ustawę wyborczą. Polega ona na przedstawicielstwie interesów wielkiej własności, przemysłu miast i gmin wiejskich. Własność wielka wybiera 85 posłów; przemysł, którego wyrazem są izby handlowe i przemysłowe — 21 posłów; gminy miejskie — 118, wiejskie — 129. W pierwszych dwu grupach wybory są bezpośrednie, w dwu ostatnich pośrednie i przeważnie ustne. W ostatnich dwu wyborca musi płacić podatku bezpośredniego najmniej 5 guldenów. Ogólna ilość wyborców wynosi 1,732,257. Z tego własności wielkiej tylko 5,000.

Nowy projekt pozostawia dotychczasowy podział bez zmiany, do istniejącej liczby 353 posłów dołącza on 72 nowych, wybranych na zasadzie głosowania powszechnego. W tej nowej grupie otrzymuje prawo głosu każdy, począwszy od 24 roku życia, nie pozbawiony przez sąd przywilejów osobistych, przebywający przynajmniej 6 miesięcy w jednej gminie. Wyłączona jest tylko służba miejska i wiejska, mieszkająca u zarobkodawcy. Do nowej grupy należą także wszyscy wyborcy pierwszych czterech. Wybory są pośrednie i ustne. Pojedynczym radom krajowym przysługuje jednak prawo wprowadzenia na ich miejsce wyborów bezpośrednich. Z liczby 22 posłów otrzymują: Czechy 18, Galicya 15, Austrya Dolna 9, Morawia 7, Styrya 4, Austrya Górna 3, Tyrol 3, Dalmacya 2, Bukowina 2, Szlązk 2, Salzburg 1, Karyntya 1, Kraina 1, Voralberg 1, Istrya 1, Hradsk 1, Tryest 1. Z miast samodzielnie wybierają Wiedeń, Praga i Tryest; inne — wraz z otaczającemi gminami wiejskiemi.

Przy ocenie nowej ustawy pierwsze miejsce zajmuje pytanie, czy będzie ona w stanie uspokoić umysły na czas dłuższy? Na pytanie to już teraz można odpowiedzieć, że nie. Majoryzacya parlamentu przez posiadaczy własności większej jest zbyt znacząca, aby możliwem było uwzględnienie żądań ludności pracującej. 5.000 posiadaczy wielkiej własności wiejskiej wybiera 85 posłów, obok tego zaś 5,333,451 wyborców grupy nowoutworzonej, tylko 72. Wprowadzenie nowych posłów nie zmienia więc wcale charakteru Rady państwa i nie zmieni kierunku jej prac prawodawczych. Ten zaś ostatni moment jest decydującym. Domaganie się przedstawicielstwa w parlamencie przez grupy, dotychczas prawa tego pozbawione, posiada tylko wtenczas faktyczną wartość i jest dlatego tylko wymaganem, iż przedstawicielstwo to umożliwia wpływ na prawodawstwo, a więc obronę i popieranie interesów własnych. Dlatego więc tylko taka ustawa wyborcza, która czyniłaby zadość temu żądaniu, może uspokoić umysły na czas dłuższy.

Ustawa wniesiona obecnie, obok majoryzacyi nowych posłów, posiada jeszcze jedną zasadniczą cechę: jest ona majoryzacyą ludności miejskiej przez wiejską. Okręgi wyborcze nie dzielą się na miejskie i wiejskie, lecz miasta wybierają wspólnie z gminami wiejskiemi. Ponieważ zaś w bardzo znacznej ilości wypadków ludność miejska będzie liczebnie mniejsza od wiejskiej, stąd też i wpływ miast, z bardzo małymi wyjątkami, ulegnie sparaliżowaniu.

Losy obecnej reformy zdają się być szczęśliwsze, aniżeli obu poprzednich. Kwestya obchodząca partye parlamentarne najwięcej: zachowanie wpływów i mandatów, rozwiązano pomyślnie, prawa teraźniejszej większości pozostały nienaruszone. O ile można wnosić, najwięcej wróżą sobie klerykalni. Obliczają oni, iż uda im się otrzymać kilka nowych mandatów. Lewica niemiecka z miną obłudną prawi o swojem poświęceniu, a o wielkości tej ofiary najlepiej mówi fakt, iż gotowi oni są głosować tylko za taką ustawą, która zachowa nienaruszalnie setkę mandatów, jakimi ona rozporządza obecnie. Ten wzgląd zachowano i to pozwala jej głosować za reformą. Jednocześnie wszakże wylewa ona łzy nad tem, iż dotychczasowy cenzus wyborczy w pierwszych dwu grupach może być prostą większością zmieniony i żąda, aby prawo posłów wliczono w poczet zasadniczych ustaw państwowych, które mogą być zmienione jedynie większością $^3/_4$ głosów.

Projekt obecny można uważać za przyjęty. Trzy czwarte parlamentu ma zapewniony wpływ i w nowych warunkach, może więc śmiało głosić hymny pochwalne na cześć swoją. Opozycyę w parlamencie tworzyć będą głównie młodoczesi, wymagający zniesienia obecnej ustawy i wprowadzenia ogólnego bezpośredniego głosowania.

Jak już zaznaczyliśmy, obecna zmiana nie może być uważaną za trwałą, jako stopień przejściowy nie pozostaje ona bez wartości. Stosunki parlamentarne nie ulegną grutownej zmianie. Zepsucie polityczne, posiadające swe źródło w tem, iż posłowie są w większości wypadków zależni tylko od garstki wyborców i nie potrzebują się liczyć z całą masą niewyborców, pozostanie w całym rozkwicie; przyjdzie jednak opozycya, która z całą bezwzględnością będzie chłostać nadużycia i wychowywać ogół. Tylko znaczenie pedagogiczne można przypisać ustawie obecnej. Przygotuje ona grunt do innej, która lepiej uwzględni interesy ogółu i mniej się będzie liczyć z jednostkami. Im mniej ustawa nowa odpowie ogólnym żądaniom, tem prędzej będzie zmienioną i ulepszoną. Jeżeli dziś już parlament i rząd, pomimo głośnego wypierania się, uledz musiały naciskowi z z zewnątrz, to będą one tem bardziej musiały ustąpić wówczas, gdy nacisk ten powstanie jednocześnie wewnątrz parlamentu.

Po przyjęciu nowej ustawy parlament obecny ulegnie rozwiązaniu. Nie długo więc trzeba będzie czekać na rezultaty nowej ustawy.

D. M.

---

7)

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

3) Kobieta współczesna na scenie.

Postać chuda, żadnej pełności kształtów, lecz dużo uroku; twarzyczka zbiedzona, pełna bolesnej słodyczy, nie młoda i nie kwitnąca, ale napiętnowana jakimś bladym, roztęsknionym czarem; *la femme de trente ans*, która żyła, cierpiała i wie, że życie jest cierpieniem, kobieta — bez zwycięzkiej pewności siebie, lecz pełna wyższości, o istocie cichej, stłumionej i łamiącym się głosie—oto Eleonora Duse w rolach, które stworzyła sobie ze sztuk popisowych.

Widząc ją, szukam aktorki, z którąbym ją porównać mogła; starałam się znaleźć jakąś wielką artystkę z ostatniego dziesięciolecia, z dawniejszych nawet jeszcze czasów, artystkę, któraby się w porównaniu z Duse wyraźniej uwypuklała lub któraby ją zdołała uwydatnić. Lecz w pamięci mojej nie powstały ani Wolter, ani Sara Bernhard, ani Ellmenreich, ani koryfeuszki sztuki konwersacyjnej w Théâtre français; nie zbudziły się we wspomnieniu mojem, nie odżyły i z Duse o palmę pierwszeństwa ubiegać się nie śmiały. Cała grupa tradycyi francuzkiej i niemieckiej stała osobno, jako całość sama w sobie.—A i *ona* stała osobno, jako sama w sobie całość. Grupa pierwsza—jako świat zamknięty, obraz kulturalny skończony; ona—poczęści taka sama jeszcze, ale poczęści stanowiąca już świat nowy, będąca obrazem kulturalnym w rozwoju. Widziałam ją, nietylko jako włoszkę, w przeciwstawieniu do niemek i francuzek; nie jako przedstawicielkę jednej szkoły, w przeciwstawieniu do szkół innych, lecz jako temperament kobiecy, odmienny od innych, jako zróżniczkowanie wrażliwości odmiennej już od wrażliwości sławnych jej poprzedniczek, których cechą była pierwotna jakaś masywność, pewna krzycząca świetność, rzekłbyś prawie—mniejsza, niż u Duse, kobiecość. Wielostronniejszych od niej było dużo artystek, większymi środkami rozporządzały niemal wszystkie; lecz gdy porównasz je z Duse, owa głośna, konwulsyjna ich sztuka wyda ci się niby jeden z tych potwornych obrazów Makarta, które tak ogniste miały barwy, a tak później wyblakły. Gdy zaś uprzytomnisz sobie ową bezpieczną na tradycyi opartą grę sławnych artystek dramatycznych z siódmego i ósmego dziesiątka lat, to w porównaniu z grą Duse wyda ci się, jak wspaniale zinstrumentowany, pyszny, hałaśliwy marsz okolicznościowy wobec cichego skrzypcowego sola, które na fali marzeń samotnie w noc płynie.

Sztuki, w których występowała Eleonora Duse, wyjęte były ze skarbca znanego publiczności: zwykły program wirtuozek. Popisowe role Sary Bernhard, jak „Fedora,“ efekty, jak „Dama Kameliowa,“ sztuki z repertuaru „Théâtre français,“ jak „Frangillon“ i „Divorçons,“—„Cavalleria rusticana,“ stara, blada „Locandiera,“ „Fernanda i „Nora.“ Shakespeara nie grała i mądrze czyniła, bo cóż wspólnego mieć może blade jej ciało z siłą duchową i fizyczną bogatej w soki epoki odrodzenia? Lecz nie grała też rzeczy, które krwią i duszą własną przeżyć musiała—serdeczniej, szczególniej, niż owe sztuki francuskie, i nie grała „Uczciwych dziewcząt“ Marka Praga, ze stworzoną dla niej rolą Pauliny, ani „Idealnej żony“ tegoż autora, w której uwadatnić by mogła kilka najgłębszych rysów swojej instynktownej filozofii życia. Nie przywiozła też z sobą „Tristi amori“ sławnego swego rodaka Giuseppe'a Giacosa. A jednak! I w tem, co nam dała, otworzyła świat, którego dawniej nie było, bo jest to świat własny jej duszy, własnego jej poglądu na życie, świat kobiety zróżniczkowanej, która przed nią nie przemówiła jeszcze nigdy ze sceny, kobiety, której życia wewnętrznego żaden poeta całkowicie nie zgłębił. Objawić je może jedynie kobieta, która z dawnych, grubszych, więcej stępionych form czucia wyłoniła się w bólach, z nerwami wysubtelnionymi, z duszą wrażliwszą i bogatszą w odcienie wrażeń, wyłoniła i wcieliła się w formy nowe, jaśniejsze, delikatniejsze—pełna wyższości a złamana, pożądań pełna a beznadziejna.

Widać w Eleonorze Duse pewien rys

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Uroczystości w Sofii i w całym kraju zakończyły się wiadomością rozesłaną po Europie z Wiednia, że książę Ferdynand bulgarski po przyłączeniu syna swego do kościoła prawosławnego, zamierza i sam przejść na prawosławie — nie zaraz, ale gdy się potrzeba okaże. Maleńkiego księcia następcę tronu odwieziono do matki, na Rivierę; czy matka z nim powróci — nie wiadomo. Małżeństwa swego obecnie rozrywać ona nie chce, ale o rozerwaniu pomyśleć może sam książę, jeśli małżonka niezgodnością poglądów i usposobienia zmusi go do rozejścia się, a własne znowu poglądy i usposobienie księcia popchną go do uzupełnienia tego, co już spełniać zaczął. O wszystkiem zawyrokuje interes, ale rozwiązanie ostateczne może przyspieszyć namiętność. Książę podrażniony, rozgniewany, może zrobić prędzej to, co by, bez podniety, zrobił później. Działanie podniecające już się zaczęło. Wikaryusz apostolski na Bulgaryę zabronił odprawiania nabożeństwa w kaplicy dworskiej. Politycznie jest to dla ks. Ferdynanda korzystnem, ale psychologicznie obraża jego miłość własną. Zrobi on i z niej ofiarę, ale, rzecz prosta, nie dla Watykanu, któremu walkę w samym akcie z d. 3 b. m. wypowiedział; zrobi ją dla narodu: chętnie odda dziecko swoje z domu swego na wychowanie w duchu religijnym i słowiańskim i organizacyą takiego wychowania zajmie się, gdy przyjdzie czas. Naczelnym ochmistrzem będzie jeden z wyższych dostojników kościoła bulgarskiego. Weźmie on dziecko już podrosłe zupełnie do siebie.

Policya sułtańska wykrywa i więzi coraz więcej młodo-turków, których sułtan za głównych swoich wrogów uważa. O rozmiarach tych usiłowań młodotureckich, na zewnątrz występujących w odosobnieniu, ale zapewne nie pozbawionych wewnętrznej spójni, o doniosłości zamysłów i stopniu zbliżenia się przygotowań do wykonania — nic nie wiadomo. Może być, że przeważnie działanie ograniczało się do myślenia, do wyznawania zasad wobec władzy sułtańskiej rewolucyjnych. Z całości sprawy armeńskiej w obecnej chwili najważniejsze są te wewnętrzne drgnienia, uporczywie się powtarzające, a pierwotnie przez kwestyę w ścisłem znaczeniu armeńską wywołane. Pamiętać trzeba, że w maju 1876 r., w kilkanaście dni po liberalnej manifestacyi softów, rada ministrów wobec szeika islamu uchwaliła złożenie Abdul Azisa i rzeczywiście go złożyła, wprowadzając na tron Amurata V. Może teraz do niczego podobnego nie przyjdzie, ale młodoturectwo, o ile się nie znajdzie w więzieniach i w Bosforze, może jeszcze zagmatwać stosunki, które się tak dobrze już dla sułtana układać zaczęły od chwili wyparowania wpływów, a raczej natarczywości angielskiej.

Abdul-Hamid otrzymał już od dyplomacyi, głównie francuskiej, zachętę do poruszenia sprawy Egiptu. I to także dowód dyplomatycznego wyrzucenia Anglików z nad Bosforu. Zachęta łatwiejsza, niż poruszenie, a to znowu mniejszemi najeżone jest trudnościami, niż rozwiązanie, które wymaga dla siebie umyślnego układu potęg europejskich i nie da się chyba samym tylko atramentem dokonać. Ta nowa kwestya ogólnie-europejska jest dopiero w słabym zalążku — może już z tego stanu nie wyjdzie i zwiędnie—ale jest.

Z właściwej kwestyi armeńskiej, skupionej w Sejtunie, najbardziej zajmującem jest to, że obdarowani wolnością oblężeńcy mrą całemi dziesiątkami, rząd turecki bowiem nie ma czem wyżywić podobno własnych nawet żołnierzy, trudno więc wymagać, aby, mimo przyjętych zobowiązań, żywił powstańców. W takiej samej mierze nakarmi on Armeńczyków i duchowym chlebem ustępstw, gdy czas karmienia nadejdzie — z wiosną, bo teraz w szklanym pałacu reform zupełnie głucho, cicho i ciemno — i nie błąka się po nim myśl nawet dziennikarska, tak skora do wycieczek, zwłaszcza w czarnoksięzkie okolice i przybytki.

Kampania senatu francuskiego przeciw gabinetowi radykalnemu w d. 21 b. m. zakończyła się wstrzymaniem kroków nieprzyjacielskich. Senator Démôle wykonał wprawdzie swą groźbę, wytoczył wielkie działo: art VI konstytucyi z 1875 r., strzelił—ale zabić nie chciał—i na teraz stwierdziwszy tylko swe prawo do zwalenia gabinetu, darował życie ministrom, dzisiejszy gabinet stanowiącym. Atak poprzedniego dnia, przypuszczony w Izbie przez Chaudeya do Ricarda, za owego to Ramplera, zakończył się również dalszem istnieniem gabinetu. Sam Chaudey chciał być tylko kapłanem bóstwa sprawiedliwości i prawności i nie miał złych zamiarów, ale je miał oportunista Laserre: brakło tylko 25 głosów oportunistom odważnym i monarchistom z nimi trzymającym do zwalenia ministrów. 283 głosowało za porządkiem dziennym Sarriena, wyrażającym zaufanie do rządu; 234 za naganą. Ostatecznie p. Bourgeois mógł wraz z p. Messureurem pojechać w niedzielę do Châlons i wypowiedzieć mowę nieoportunistyczną.

Z Włochami chwilowo źle. Sudańczycy nareszcie sprzymierzyli się czynnie z Menelikiem, a Menelik obchodzi pozycye włoskie. Włochom prowadzi Heusch posiłki. Komendę ma objąć Pelloux. Kampania od października kosztuje już 35 milionów lir.

BADANIA NAUKOWE.

TECHNO-GEOGRAFIA.

Otis T. Mason, kustosz działu etnograficznego w Muzeum narodowem Stanów Zjednoczonych, bezwarunkowo należy w chwili obecnej do najlepszych znawców techniki pierwotnej. Wspomniana instytucya, znajdująca się pod pieczą fundacyi Smithsoniańskiej, posiada zbiory bardzo obfite. Nie poprzestała ona na zwykłem gromadzeniu narzędzi, sprzętów i innych martwych przyczynków do kultury pierwotnej, lecz podjęła zbadanie metod, któremi posługują się lu-

---

wielkiego znużenia. Nie jest to zmęczenie wyczerpanych zmysłów, rozleniwionego zniechęcenia, ani zmęczenie przepracowanej artystki, chociaż i ono niekiedy się odzywa, sprawiając, że Duse obojętnie przyjmuje upadek całej roli, całego wieczoru. I nie jest to znużenie wewnętrznej próżni, pusty dźwięk afektu, do którego z czasem dochodzą wszyscy wirtuozi. Ani też stępienie, będące wynikiem przesyconej namiętności, pół-sen drapieżnego zwierzęcia, tak chętnie przez tragików i tragiczki nasze grywany. tak zwanej wielkiej namiętności, która zrywa się niby wicher w stepach, pozostawia za sobą szkielety i zniszczenie, a jest też taką sobie starą tradycyą, sięgającą tragedyi greckiej, czczoną aż po dzień wczorajszy: namiętności takiej Duse nie zna, Brunhildy, Medee, Mesaliny i wszystkie owe ambitne, zmysłowe, chciwe władzy, koturnowe księżniczki nie dla niej są stworzone; nie jest ona żadną księżną historyczną, ani męczennicą. Księżną jest z własnej łaski i męczennicą siebie samej; przez całą grę jej snuje się zdziwienie, dlaczego musi cierpieć i być męczennicą, a zarazem jak gdyby uśpiona świadomość, że będzie przedmiotem cierpień i męczeństwa. To zaś nadaje duszy jej ową głęboką, znużenia pełną melancholię. Bowiem nie ciało jej, nie zmysły i nie rozum są zmęczone i jakby zbudzone z letargu, dopiero co oprzytomniałe, lecz dusza jej jest tak znużona, tak napiętnowana jakiemś łagodnem miękkiem, pieszczoty i oparcia pragnącem znużeniem—samotności. I dlatego cicho, z prośbą zbliża się tam, gdzie jest ciepło. Ciepło zaś jest przy boku miłości. Eleonora Duse gra miłość. A gra ją nie chciwie i łaknąco, z męzkiem zuchwalstwem, jak Wolter i Sara Bernhard, nie z żarem zmysłowym i lubieżnem wabieniem, nie despotycznie, jak wielka kobieta, która bierze małego mężczyznę i uszczęśliwić go raczy, lecz kochając, zawsze jest małą kobietą, mężczyzna zaś jest dla niej wielkim dawcą, dzierżącym w rękach swoich jej szczęście. Więc przygarnia się do niego lękliwie, prawie nieśmiało z uśmiechem poważnym, znużonym, napół dziecinnym, ogrzać się chce przy nim, jak powracająca z tułaczki dziecina przy rodzinnem ognisku z czułością, silnie opasuje go chudemi swemi nieśmiałemi rączkami dziecka i matki. Nigdy nikt nie przedstawił na scenie kobiety więcej kobieco, niż Eleonora Duse. Co większa, na własną biorąc to odpowiedzialność, bowiem: kobiety nie przedstawiono jeszcze nigdy na scenie przed Eleonorą Duse.

Bo gra ona jednocześnie wiedzącą, dojrzałą kobietę..i wieczne w niej dziecko, miłosną tęsknotę i tęsknotę do treści t. j. mężczyzny. Kobieta sama sobie nie wystarcza, nie może sobie wystarczyć, nie znajduje też szczęścia w chwilowem oddaniu się, nie zadowoli się życiem *obok* mężczyzny—żyć musi *w* nim. Z jego pieszczot czerpie ciepło życiowe. W żarze, który w nim roznieca, spoczywa, wzbiera i rozkwita jej siła żywotna. On daje ciepło, w jakiem jej życie wschodzi, stając się wspaniałem, bogatem, dumnem i bezpiecznem. Więc Duse oddaje się mężczyznie nie z głupią niewinnością dziecka, nie z dziewiczą zarozumiałością zielonego pączka, nie z pożądaniem kurtyzany, nie z łaskawem pobłażaniem „czystej, wyższej kobiety,“ nie z koleżeńską poufałością kobiety-mężczyzny, nie z ociąganiem się podlotka—to widzieliśmy już na wszystkich scenach, we wszystkich krajach, jest to bowiem dotychczasowa skala typów kobiecych, pojmowanych i odtwarzanych przez wielkie i małe aktorki. A w tę samą skalę i w te same role wnosi Duse coś, co dotychczas było na scenie *taką sobie* tylko przymieszką, co w „wielkiej sztuce“ było tylko kunsztem gardlanym, w małej zaś — mile widzianą cząstką składową, co zaś dla niej jest struną, na której drga jej artyzm, zasadniczym tonem i myślą każdej z jej ról, któreby bez tego nie miały sensu. Oddaje się mężczyznie *całą siłą wewnętrzną* kobiety wiedzącej, swą drżącą, lęku pełną siłą całkowitej, doskonałej kobiecości, którą próżnia samotności dreszczem przejmuje, która rozpłynąć i odnaleźć się chce znowu w ukochanym, a z trwogą czuje, że człowiek ma tylko chwile, że na żadną trwałość rzeczy liczyć niepodobna, bo od wczoraj ku jutru ciemna niesie nas woda, a pusta tęsknota nasza nie jest tak straszną, jak lękliwe drżenie, gorączkowy niepokój w szczęściu.

(D. c. n.).

dy amerykańskie, gdy produkują ten lub inny przedmiot. Tkacze barbarzyńscy, kamieniarze itd. wykonywają tam, w obecności uczonych specyalistów, swoją robotę; agenci, wysyłani dla studyów naukowych do plemion, które jeszcze istnieją, badają na miejscu technikę dziką; niektórzy z nich, z biegiem czasu, stają się bardzo dobrymi rzemieślnikami. Mason, z obowiązku swego urzędu kierujące poniekąd tem wszystkiem, miał możność nietylko zapoznać się szczegółowo ze sprawą produkcyi pierwotnej i zebrać obfity materyał, lecz nadto nauczył się krytycznej spoglądać na fakty, nagromadzone w dziełach podróżników i misyonarzy, aniżeli to zrobili Klemm i Waitz, Lubbock lub Tylor. To też jego najnowsza praca, poświęcona przedstawieniu techniki u ludów pierwotnych *), jest bardzo poważnym wkładem do historyi kultury ludzkiej. Autor nietylko daje dokładniejszy obraz produkcyi dzikiej i barbarzyńskiej, niż ktokolwiek dotychczas, ale poprawia błędy, które wkradły się do prac i rzuca nowe światło na zagadnienia archeologii przedhistorycznej. Przedewszystkiem zaś, rozporządzając znacznem doświadczeniem, podniósł parę kwestyj i rozwiązał je w sposób zadawalający, na które wątpię czy wpadliby uczeni europejscy, mający z konieczności do czynienia nie z ogółem produktów kultury pierwotnej, lecz tylko z niedokładnemi cząstkami.

Autor z góry zaznacza, że wynalazek jest tak samo ciągłym i normalnym, co więcej, celowym objawem w życiu ludów pierwotnych, jak w naszej cywilizacyi. Jedyna różnica polega na tem, iż nasz dobytek, wzrastając na podstawie techniki udoskonalonej, robi odrazu postępy, rzucające się w oczy, tymczasem inicyatywa wynalazcza, istniejąca u barbarzyńców, dorzuca do posiadanego już zasobu narzędzi i metod jedynie drobne ulepszenia. Między innemi, na poparcie swojego twierdzenia, przytacza on zwyczaje Eskimów, którzy zrobili zabawę z ćwiczenia swojej wynalazczości. Udają się np. do pewnych cieśnin, w których trudno się oryentować, i tam stanąwszy, jeden drugiemu rzucają zagadki: coby on robił, gdyby znalazł się w takich a takich warunkach. Czynią więc oni świadomie doświadczenia w swoich dzikich laboratoryach. Wogóle, zdaniem O. T. Masona, „dużo pisano o pierwotnej industryi i wynalazczości, ale autor często nie dociera do jądra, ponieważ nie uwzględnił tego, co można nazwać wprawą plemienną. Etnolog z zawodu poci się w ciągu wielu godzin nad wydobyciem ognia z dwu kawałków drzewa, dzikus zaś otrzymuje go w kilka sekund. Ale z dnia na dzień zwiększa on swoją zręczność, aż wreszcie przeszkody znikają. Lafitau twierdzi, że na wygładzenie krzemienia trzeba było pokoleń, Mc Guire tymczasem wykończa, z nieobrobionego głazu, siekierkę jaspisową w ciągu setki godzin.“

Mason powiada, że tylko wtedy zdołamy odcyfrować dzieje techniki ludzkiej, gdy uda się nam zbudować nową naukę, której daje on miano techno-geografii. Historya wynalazków bowiem jest w jak najściślejszym związku z otoczeniem, w którem człowiek przebywa. Bliższe zbadanie tej łączności da możność etnografii nawet wyrokowania, czy pewne rzemiosło lub wytwory są pochodzenia miejscowego lub przyniesione. Badacz amerykański, w swoich studyach, wciąż wskazuje tę stronę rozwoju kulturalnego. Ród ludzki dokonał każdego ze swoich wielkich wynalazków w paru punktach globu ziemskiego i rozwijał go niezależnie. Odciskał on na sprzęcie lub metodzie produkcyi piętno miejscowe, tak iż odrazu można spostrzedz, że w danym razie nie mamy do czynienia ze sztuką, którąby zapożyczono z zewnątrz, lecz z własnym dorobkiem rozpatrywanej grupy plemiennej. Weźmy chociażby wynalazek ognia. Mason wyraża pogląd, że człowiek już umiał ocenić należycie dobrodziejstwa ognia, zanim odkrył sztukę krzesania go — mniejsza o sposoby. Wymienia on liczne wypadki, w których przyroda, sama z siebie, wytwarza zjawisko palenia się. To piorun, uderzając w las, zapala go, to wulkan sprawia pożary, lub tarcie się skał podczas spadku. Ogień powstaje także często skutkiem tarcia się suchych gałęzi w lesie; pożary, pochodzące z takiej przyczyny, zdarzają się w lasach bambusowych Indyj południowych. Niektóre zwyczaje, istniejące jeszcze dzisiaj w życiu codziennem u pewnych ludów, świadczą może o pochodzeniu ognia z pożaru naturalnego; Golowie np., plemię murzyńskie, zamieszkujące Afrykę zachodnią, gaszą ogniska w domach, ilekroć w sąsiedztwie wioski uderzy piorun i zapali pewien przedmiot. Rozniecają oni nowe ognie, biorąc zarzewie z takiego miejsca. Nawet po odkryciu ognia w pewnych okolicach, nie wszystkie plemiona posiadały go u siebie. Był okres, w którym jedne wykradały ów skarb drogocenny innym. Podania dochowały pamięć o takim stanie rzeczy. Tlinkici np. opowiadają, że dopiero kruk obdarzył ich ogniem. Nad ziemią unosiły się mroki, bo pewien czarodziej trzymał u siebie słońce, księżyc, gwiazdy i ogień w pudełku. Ażeby wykraść zarzewie, kruk wcisnął się w łono córki szamana i przyszedł na świat w ludzkiej postaci, jako wnuk czarodzieja. Dziadek pokochał malca i pozwolił bawić mu się swojem pudełkiem cudownem. Ale psotnik wypuścił słońce na swobodę i wykradł węgiel żarzący się, a przybrawszy właściwą postać, zaniósł go do Tlinkitów. Do opowieści wprowadzono czarodzieja i ptaka cudownego, ale skoro odrzucimy ten przyodziewek mityczny, zasadniczy wątek wystąpi wyraźnie: ktoś z Tlinkitów zaskarbił łaski sąsiadów, posiadających ogień, a korzystając z gościny, wykradł to źródło ciepła i światła. Po takim okresie pierwotnym: wydzierania ognia przyrodzie podczas naturalnych pożarów lub wykradania go plemionom sąsiednim, nastał drugi, w którym człowiek zaczął wydobywać iskry sztucznie. Mason wylicza około dziesięciu sposobów niecenia ognia, zasadniczo różnych od siebie, tak iż każdy z nich musiał powstać niezależnie. Rozważmy chociażby tarcie dwu kawałków drzewa. Okazuje się, że w tym przypadku odnajdujemy u ludów pierwotnych aż trzy metody, oparte każda na odmiennej zasadzie. Kawałki drzewa można pocierać o siebie wzdłuż włókien lub w poprzek ich, albo wreszcie obracając jeden w drugim. Każdy z tych sposobów jest używany na ściśle ograniczonej przestrzeni geograficznej, przytem drugi — tarcie drzewa tak, ażeby włókna leżały prostopadle do siebie — nie wychyla się po za terytoryum, na którem rośnie bambus. W wymienionych trzech kategoryach istnieją jeszcze dalsze poddziały, dość charakterystyczne. Takie obszary techno-geograficzne można wyznaczyć dla każdego sprzętu gospodarskiego: formy garnków lub koszów, barwa i desenie itd. dla każdej „prowincyi technicznej“ są tak odmienne i zarazem charakterystyczne, że umiejętny badacz może powiedzieć, rzuciwszy okiem, z jakiej miejscowości dany przedmiot pochodzi. Przynajmniej tak stoją rzeczy na lądzie północno-amerykańskim.

Zwłaszcza wywody etnografa amerykańskiego, dotyczące dziejów techniki kamieniarskiej, odznaczają się głębokością. Mason, korzystając ze swojej znajomości życia pierwotnego, postanowił przelać światło na nasze, europejskie dzieje przedhistoryczne. Archeolodzy naszej części świata, biorąc się do studyów nad wykopaliskami i stacyami krzemiennemi, ze znalezionych szczątków i okazów usiłowali odtworzyć zwyczaje dalekiej przeszłości. Byli pomiędzy nimi ludzie różni: dyletanci i erudyci, opisujący i oryentujący się szybko, ale niewielu znalazłoby się takich, którzyby znali technikę pierwotną na podstawie doświadczenia. Jeden i drugi, sumienniejszy, zabierał się do prób, ciosał więc krzemienie, ażeby nadać im formę, właściwą wykopanym narzędziom, polerował itd. Ale największa erudycya i nawet dokonywane ćwiczenia nie zdołały wypełnić luki, którą sprawiała niedostateczna znajomość zwyczajów, spotykanych u ludów pierwotnych. Etnografowie i archeologowie amerykańscy znaleźli się w zgoła innem położeniu: pierwszym warunkiem postępu ich studyów było zapoznanie się szczegółowe z umiejętnościami i techniką Indyan. Doszli oni do wniosku, że pod względem właściwości krzemieni i głazów przy obrobieniu, dziki odniósłby bardzo niewielką korzyść ze wskazówek, jakie dałaby mu nasza wiedza. Przeciwnie, rzemieślnicy cywilizowani mogli nauczyć się wielu rzeczy od dzikiego swojego poprzednika; co zaś do wprawy, najzręczniejsi nawet kamieniarze Brandonu, chociaż użytkują z udoskonalonych narzędzi, nie nadadzą krzemieniowi tak pięknych form, jakie wychodzą z pod ręki barbarzyńcy, od dzieciństwa ćwiczonego w sztuce ciosania krzemioni i nadto rozporządzającego doświadczeniem dziadów swoich i pradziadów. Szczególnie jednak uwaga, zrobiona przez O. T. Masona, daje dużo do myślenia. Jest ona tak domosła, że archeolodzy europejscy, gdyby przyznali jej słuszność, musieliby zabrać się do sprawdzenia probierzy, na których podstawie ułożono klasyfikację tak zwanych siekierek kamiennych i innych sprzętów i oręży przedhistorycznych. Twierdzi on, że poszukiwania, przedsiębrane na przestrzeni Stanów Zjednoczonych przez agentów-etnografów fundacyi Smithsoniańskiej, wykazały, iż miliony głazów, niezgrabnie ociosanych a uchodzących dotychczas za spuściznę po najdawniejszej epoce, są wprost pozostałością z okresów późniejszych. Cała rzecz polega na tem, że nie są one narzędziami wykończonemi, jak mniemali archeolodzy dawnej daty, ale odpadkami, właściwie zaś narzędziami, których nie ociosano do końca dla pewnych powodów. Holmes, wybitny etnograf Nowego lądu, poświęcający się wyłącznie studyom nad techniką pierwotną, stanowczo oświadcza, że na jedno narzędzie wykończone przypada około dziesięciu, które porzucono po ociosaniu powierzchownem. Mason, opierając się na wynikach poszukiwań swojego przyjaciela, a nadto powołując się na fakt, iż najlepsze okazy broni kamiennej w Europie znaleziono w pomnikach pośmiertnych, gotów jest przypuścić, że wiele sztuk krzemienia, uchodzących za bardzo starożytne, są wprost takimi odpadkami. Jego zdaniem, nie kształty tylko i wykończenie powinny rozstrzygać o starożytności narzędzia i kolejnem następstwie odmian, ale pokład, w którym je odkryto, zwłaszcza zaś położenie geograficzne (odległość od kamieniołomów, obfitość okazów itd.). Tymczasem zaś klasyfikacya narzędzi i względnej ich starożytności, sporządzona przez Mortillet'a i powszechnie przyjęta w Europie, opiera się właśnie na takiej zasadzie. O. T. Mason zwraca uwagę jeszcze na jeden szczegół, mianowicie, że rozwój techniki kamieniarskiej jest w tym samym czasie bardzo niejednakowy dla różnych okolic lądu północno-amerykańskiego. Inaczej przedstawia się on np. w miejscowościach górzystych, w których jest pod dostatkiem

*) *The Origins of invention.* A study of Industry among primitive Peoples. Londyn.

skał wszelkiego rodzaju. inaczej zaś wygląda na równinach. Prawdopodobnie tak samo działo się w Europie w okresie przedhistorycznym.

Badacz amerykański rozpatruje w swojem dziele początki wszystkich umiejętności technicznych, istniejących podczas niższych okresów rozwoju kulturalnego. Przed nami przesuwa się obraz sztuki kamieniarskiej i garncarskiej, tkackiej i wojennej, myśliwskiej i rolniczej, oraz hodowlanej. Wywody są może nie zawsze wyczerpujące, ale w każdym ustępie znać rękę pisarza, który roztrząsa rzeczy bardzo dobrze sobie znane — nietylko z teoryi, lecz także na podstawie doświadczenia, i dzięki temu rozszerza dawne widnokręgi i podnosi nowe zagadnienia. Przedstawia on postęp techniki pierwotnej na tle umysłowości dzikiej, która, jego zdaniem, nie jest tak nizką, jak przyzwyczailiśmy się mniemać. Mason mimochodem wypowiada parę poglądów na ogólne dążenie postępu technicznego. Ród ludzki wyszedł ze stanu podległości, używał przedmiotów w takiej formie, w jakiej raczyła mu je podsunąć kapryśnica-przyroda. Ale w miarę wzrostu wiedzy otrząsa się on z tego poddaństwa i pomiędzy sobą a przyrodą stwarza otoczenie pośrednie, będące dziełem rąk i jego sztuki. Zamiast naturalności-sztuka, zamiast kaprysów uległość sił przyrody woli ludzkiej — taką jest zasadnicza dążność postępu, która zacząwszy się z wynalazkiem użycia pierwszego kija i pierwszego głazu, doprowadziła nas bardzo daleko, jeszcze zaś dalej posunie naszych potomków.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Eliza Orzeszkowa: *Melancholicy*, nowele. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, str. 278 i 312.— Wanda Grot-Bęczkowska: *Bez woli*, powieść. Warszawa, Paprocki, 1896, str. 709. — M. Rodziewiczówna: *Na wyżynach*, powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, str. 381.

Kto czytając Rodziewiczówny „Na wyżynach," przypomni sobie Berenta „Fachowca," nabierze niejakiego wyobrażenia o możliwej rozciągłości subjektywizmu powieściowego. Młot fabryczny jest prawdopodobnie, tu i tam, równego ciężaru, ale kiedy Kazimierz Zaliwski Berenta udźwignąć go nie może, upada pod nim spłaszczony na nieużyteczną już do niczego protoplazmę społeczną, to Dyzma Kryszpin Rodziewiczówny obraca nim jak piórkiem i wznosi się od tego kucia na niedoścignione, półboskie niemal stanowisko reformatora i dobroczyńcy ludzkości. Wszystkie składowe pierwiastki opowiadania, wzięte z osobna, nie przedstawiają sprzeczności, gwałcących przyrodzony porządek świata. Niezwykłe zaparcie się Kryszpina, nadludzka jego cierpliwość, niewzruszona obojętność na słodycze i powodzenia na tym padole płaczu, budzą nawet zaciekawienie i sympatyę, z czego wnosimy, że jest w tem kropla jakaś dobrej psychologii... historyozoficznej. Personel fabryki, jej zajęcia, powszedni jej tryb bytu, opisane zostały również piórem mniej więcej dokładnie oswojonem z prawami mechaniki i socyologii... iks-krajowej. Ale skojarzenia dwu tych światów wygląda cokolwiek za powietrznie, robi wrażenie seansu spirytystycznego, z tą tylko różnicą, że wywoływane przez Eusapię Paladino duchy wielkie włażą do małych stolików lub do mniejszych jeszcze dzwonków, gdy tymczasem maluczki i pokorny „duszek" Rodziewiczówny (Kryszpin), rączką (?) swą niewidzialną góry z miejsca na miejsce przenosi... I znów zaraz dalej — rzeczywistość, gdyż narzędzia używane przezeń do spełniania tych cudów, są najodpowiedniej i nawet najpraktyczniej dobrane: stowarzyszenie robotnicze, szkółka, czytelnia, wstrzemięźliwość od wódki itp. Wszystko to razem powoduje niemały zamęt wyobrażeń. W „Fachowcu" dyrektor fabryki dostał pomieszania zmysłów w następstwie usiłowań, mających na celu zastąpienie dźwigni dotąd używanych, nową jakąś, lżejszą. Kryszpin byłżeby szczęśliwszym? Sztuczki jego w każdym razie zaciekawienie budzą. Czego się on dotknie, o czem pomyśli, co postanowi — maszeruje wraz naprzód z brzękiem i hukiem świetnie wyćwiczonej i dzielnie dowodzonej brygady kirasyerów; z czemkolwiek się rozstanie, od czegokolwiek ręce otrząśnie, wraz staje to na miejscu jak wryty i rzęzi, psuje się, rozpada niby ów okręt bajeczny, z którego. za zbliżeniem się do góry magnesowej powyskakiwały wszystkie żelazne gwoździe i wiązadła.

Spostrzegamy i u pani Wandy Grot-Bęczkowskiej coś w rodzaju rozprzęgania się nawy przeznaczeń ludzkich — ale nie ma tu już żadnych cudotwórczych maści, doraźnie, za jednym rzutem myśli zalepiających szpary i prostujących spaczenia, klęski lub niedole życia. Rozkład odbywa się przytem bardzo powoli, za powolnie nawet, jeśli zważymy, że jego proces roztacza się na czterdziestu czterech arkuszach gęstego druku, a z prostej linii przesłanek wstępnych, postulat dziedziczności obrazujących, nigdzie nie zbacza. Nie gniewa nas jednak ta opieszałość, jest ona nieuniknioną. Od samego wstępu widzimy, że ćwieki. spajające budowę romansu, mocno siedzą w głowach bohaterów, autorka zaś nie bardzo zdaje się wierzyć w istnienie jakichkolwiek zewnętrznych potęg, któreby je gwałtownie z posad powyrywały i tym sposobem arkę od rozbicia ocaliły. Powtóre, wcale też nie spieszno nam do ostatnich rozdziałów książki, bowiem głowy owe są tak dalece swojskie, własnego naszego, ojczystego pokroju, że się lękamy wyjść na ulicę, żeby nie spotkać kogokolwiek z dobrych znajomych, przyjaciół. Ten Stach Kamieniecki, naprzykład... Ależ bretnal kilkunastocalowy wbił on sobie do łba z tą swoją miłością ku Lili Rumszańskiej. Napróżno upomina go najbliższy druh młodości i najzacniejszy z sąsiadów, Lucyan Rolski: „Stasiu, znając twoje purytańskie zasady, twoje wysokie pojęcie o godności niewiasty naszej, znając twą matkę wreszcie, nie przypuszczałem, abyś w takiej Lili mógł... zagustować... Ty, marzyciel, poeta — w niej, pustej kokietce!.." Napróżno przestrzegają go łzy matki i przeszłość ojcowska, zmarnowana w warunkach, przypominających tożsamość sytuacyi przyczynowej i zapowiadających powtórzenie się klęski. Autorka umie wykazać na podstawie świetnie rozwiązanej gry motywów psychologicznych, że o ratunku nie ma co myśleć, że bretnal wpił się w mózg ofiary nieuleczalnie, bo tępym i grubym swym końcem. Fortuna Kamienieckich idzie na dno nie dlatego, że serce powiada Stachowi: „kocham," lecz że rodowo przestarzały i próchniejący umysł opłątał go przeświadczeniem, iż jest kochanym. Wyśmienity sceniczny wykład tego założenia wzmaga i wysoko nastraja dramatyczność stopniowego i z początku zaledwie dostrzegalnego zapadania w nicość rozumu i woli Kamienieckiego. dokoła którego opracowana po mistrzowsku postać Lili zatacza się jako czarująca mara nierządu i rozkoszy, wysysająca na chłodno, grubemi kroplami dobrobyt i godność bliższego i dalszego otoczenia. Bez żadnych postronnych fal przypływu i odpływu szczęścia lub nieszczęścia, bez taranów lichwy żydowskiej, bez nawałnic współawodniczącej pszenicy amerykańskiej, bez pogromowej niemieckiej polityki celnej, nikczemnieje to, rozkłada się i zanika mocą wewnętrznej swej nieudolności i pustki, na którą każda bez wyjątku zewnętrzność napastniczo i zwycięzko nacierać musi, choćby tak wątłą i rozcieńczoną była, jak promienie prof. Röntgena.

„Melancholicy" Orzeszkowej żadnych w sobie gwoździ nie noszą. Wszyscy szeregiem wiszą na mocnych hakach metafizycznych, powiązani sznurami pesymizmu. Wisielec pierwszy majaczy w pomroku o tem, że nic go nie objaśnia, dlaczego na tym, nie na innym punkcie czasu, przestrzeni i intelektualnej drabiny przyszedł na świat i z jakiego powodu „jakieś coś nieznane, niedojrzane, swawolne, stołek mu podstawiło wtedy właśnie, gdy najprędzej iść potrzebował." Drugi spowiada się przed zgonem z setnej cząstki swych szlachetnych, wzniosłych, wspaniałomyślnych tęsknot, popędów i pragnień, które się nie zrealizowały, więc umierając, woła: „Duszę się — i takie straszne bóle.. tu w głowie i tam w plecach!" Oczywiście jest to ostatnie i ostateczne zwycięztwo dziewięćdziesięciu dziewięciu zwierzęcych części dwunożnego gatunku. Trzeci i czwarty — to Berek zegarmistrz i hr. Ksawery ze Strumienicy, niegdyś miłośnik „bystrych koni i pięknych panienek," później amator już tylko staroświeckich zegarków; spotkali się z sobą za młodu, później znów na starość, a gdy spotkają się raz jeszcze, „wspólne tym razem nareszcie niebo skuje ich ogniwem wysokiem i szerokiem." Wreszcie piąty, szósty... dwudziesty — są to wciąż, jak okiem zajrzeć, nieboszczycy tejże samej kategoryi, skazani zawczasu i zawsze zgóry, przez jakąś siłę większą, najzwyklej obcą, przybłędną na wędzenie się nekrologowe w atmosferze złowrogiej, która ich śmiertelnie zaczadziła. Znaczenie, powodzenie, sławę wypycha do szpitala nieuleczalnych lub na strych pod krokwie z postronkami, przygoda ślepa, na wzór owego pierwszorzędnego artysty, któremu choroba wytrąciła z rąk skrzypce, a który „mając przez lat wiele oddech tak szeroki i swobodny, iż mniemał się być ptakiem, szybującym po przestworzach rajskich," usiadł dziś oto, samotny, skurczony, malutki, przed zwierciadłem i „patrzy w swe oczy zapadłe, osłupiałe, przerażone," rychło-li je zaleje traf głupi czy też wszechmądra ta konieczność, co go „w brudnej wodzie życia skąpała." A jeśli cicho, skromnie, w nieznanym zakątku świata ciągniesz ubogą taczkę bytu, zarazę zaniesie ci pod strzechę nawet brat rodzony. jako w owym starym wiejskim domu Horniców, w Zapolance, o którego ściany odbije się nagle — po raz pierwszy może od lat trzystu—odgłos wielkomiejskiej i wielkoświatowej cywilizacyi tegoczesnej — skandal finansowy, flirt emancypacyjny, blaga dziennikarska, żargon filuteryi złodziejskiej... Litośniejszy wyjątek znajdzie się chyba dla niewiasty, ale i to rzecz niepewna. Zawiedzioną, niewiedzieć dlaczego rozczarowaną arystokratkę, ocali niespodzianie, w chwili gdy niecna pociecha rozpusty do zmierzchu wejść miała—skrzeczące, kaszlące, astmatyczne „światełko w ruinach" (mimochodem zaznaczmy — nowelka nieprzebranej piękności); ale czy obleczona w śmiertelną koszulkę zaświatowości zakonnej siostra Mechtylda ocknie się kiedykolwiek ze snu grobowego pod ciepłem słów przełożonej: „Bóg stworzył cierpienie. ale przeciwko niemu wysłał dobroć, — bądź wyrazem miłosierdzia życia, stającego naprzeciw jego okrucieństwa"?...

J. T. Hodi.

Przędziwo. Warszawa. Wydawnictwo imienia Paulliny Krakowowej.

Nie pamiętamy już oddawna, ażeby jaka książka wywołała tyle krytyk namiętnych, co „Przędziwo.“ W naszej literaturze nastały czasy jeśli nie wzajemnej adoracyi, to bardzo uprzejmej powściągliwości, lub milczenia w razie ostatecznym. „Przędziwo“ tymczasem oburzyło do żywego pewne osoby, które, korzystając z umiejętności władania piórem, nie omieszkały surowo skarcić wydawców książki. Krytyk *Wieku*, p. Chorąży, oddawna stojący na straży, „ażeby młynek nasz na strudze obracał plewy, swojskie i cudze,“ posunął się nawet tak dalece, że zażądał specyalnej kontroli nad wydawnictwami dla młodzieży!

Parę słów o potępionej książce. Jest to dziełko zbiorowe, rodzaj wypisów dla młodzieży. Złożyły się na nie rzeczy bardzo odmiennej wartości i natury. Figurują tam autorzy znani, z których nazwiskami przyzwyczailiśmy się łączyć uczucia niepodejrzanie obywatelskie, oraz samodzielność sądu. Są w książeczce rozprawy St. Kramsztyka, W. Nałkowskiego, M. Heilperna i M. Brzezińskiego, prace J. Karłowicza i W. Gostomskiego, Teresy Jadwigi i Z. Morawskiej, wierszyki M. Konopnickiej i K. Glińskiego. Chodzi tylko o to, jak młodzież przyjmie ten upominek. Obawiamy się, że oczekiwania będą zawiedzione; to samo z żadną książeczką p. K. Drzewieckiego: „Pogadanki z p. Karolem.“ Nasze małe i większe pociechy są tak zdemoralizowane sensacyą, tak przyzwyczaiły się do łykania „Montépinów,“ piszących dla młodych czytelników, że prawdziwie pożyteczna rzecz jest dla nich już nudna. Lichoty oryginalne i zagraniczne, goniące za podrażnianiem nerwów młodocianych, zabiły literaturę zdrową, jak operetka wyrugowała operę poważną.

Niektórzy krytycy, z zastępu panów Chorążych, odsądzili „Przędziwo“ od wszelkiej wartości. Dlaczego? P. J. Karłowicz bowiem zamieścił rzecz „gorszącą,“ bo — dał opowieść o Buddzie i jego doświadczeniach. Pani Z. Morawskiej, w krótkiej opowieści o Drużbackiej, z pod pióra wybiegła herezya: „Chcąc pisać powieści biblijne, trzeba mieć wielkie natchnienie, aby te postacie, owinięte mgłą cudowności i cnót nadziemskich, wyprowadzić jako istoty żywe, rzeczywiście ludzkie, a jednak osłonięte w szaty poezyi, w jaką je wieki ubrały.“ Czytelnik nawet nie dopatrzy się może, co jest zdrożnego w tym ustępie. Chodzi o nieszczęśliwą „mgłę,“ jeden z krytyków domaga się „aureoli.“ Jeszcze gorzej powiodło się przed sądem naszych inkwizytorów p. M. Heilpernowi. Pewien krytyk bez ogródki żałuje, że ołówek redakcyjny nie usunął od początku do końca rozprawki tego pedagoga, inny zaś rozpoczyna szczucie przeciw Heilpernowi jako żydowi i dziwi się, że jego nazwisko mogło znaleźć się w tej książce. Rozprawka jego zawiera około 20 stronic, poświęconych życiu bakteryj, oraz ich działalności. Rzecz popularnie naukowa. Ale autor dał pracy swojej nieszczęśliwy tytuł: „Z dziejów mniemanych cudów i czarów,“ w pewnym zaś ustępie (kilkanaście wierszy) opowiada, jak występujące na hostyi plamki czerwone dały w wiekach średnich pobudkę do rzezi żydów. Jeszcze na początku ktoś doszukał się paru wyrazów...

Zdaje się, po raz pierwszy spotykamy nazwiska p. Chorążego i jego kolegi ze *Słowa* pod oceną książek dla młodzieży. Sądząc z okazanej gorliwości w wyławianiu nawet pojedynczych wyrazów, trzeba żałować, że są zwykle tak opieszali. Nasza literatura dla dzieci przedstawia widok rozpaczliwy. Rozpowszechniła się tam sensacya najgorszego rodzaju, znieprawiająca młodociany charakter przedwczesną myślą o użyciu, podsuwająca mu uprzedzenia klasowe i przedstawiająca nieraz sobkostwo za czyn bohaterski. Zaprawdę, trzeba tam krytyków którzyby przeciwdziałali dalszemu pleniemu się chwastów. Ale tych panów niema tam. gdzie chodzi o obronę uczuć obywatelskich, o powstrzymaniu jadu sensacyi!

Nasza Warszawa jest miastem wielkiem i plotkarskiem. Wieść głosi, że po za oburzonymi Katonami ukrywają się — tylko damy. Pewne grono pań, których ambicyi nie stało się zadość z powodu „Przędziwa,“ szuka odwetu. A wiadomo, że po osach białogłowy są istotami najzawziętszemi. Może to tylko plotka...

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

— Wydawnictwa zeszytowe: *Encyklopedya rolnicza*, z. 55 (do wyrazu „machiny rolnicze“), *Dzieje powszechne ilustrowane*, z. 61—63; E. Majewskiego: *Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich*, tom II, str. 280; P. Reussner: *Samouczek polsko francuski*, z. 1 i 2.

— Powieści: E. Orzeszkowej: *Przerwana pieśń* (Gebethner i Wolff); Wandy Grot-Bęczkowskiej: *Bez woli* (str. 709, T. Paprocki); I. K. Zielińskiego: *Wspomnienia starego kawalera* (str. 288, Lwów, Altenberg); K. Malczewskiego: *Nowele* (str. 61, Kraków).

— Dzieła i rozprawy naukowe: Dr. W. Heinrich: *Die moderne physiologische Psychologie in Deutschland* (str. 232, Zurich). Tegoż autora, jako odbitka z *Zeitschr. f. Psychol. u. Physiol. d. Sinnesorgane* wyszła rozprawa: „Die Aufmerksamkeit u. die Funktion der Sinnesorgane.“ Oba te studya naszego współpracownika noszą na sobie cechy tej gruntowności, jakie wprowadziła nowa doświadczalna metoda do badań psychologicznych.

— M. Heilpern wydał ponownie (u Wizbeka) swoje popularne dziełko *O ziemi, słońcu i gwiazdach* (str. 189). Jest to bardzo przystępny i jasny podręcznik kosmografii, zwłaszcza dla samouków pożyteczny.

— Nakładem T. Paprockiego wyszedł *Podręcznik do racyonalnego żywienia zwierząt gospodarskich* (s. 298) A. Brownsforda. Taż księgarnia wydała *100 rad dla nerwowych* (str. 74) d-ra Breitsa.

— Wyszły jako odbitki: ze *Zdrowia* „Mieszkania dla robotników“ (str. 32) dr. J. Tchórznickiego i dr. R. Wojnicza; z *Kroniki lekarskiej*: „Obecne stanowisko nauki o nieżycie pęcherza moczowego“ (str. 38), M. Misiewicza; z *Biblioteki warszawskiej*: „M. Gierymski“ (str. 66), W. Piątkowskiego; nakoniec z *Bluszczu* odczyty A. Pileckiego p. t.: „Kobiety poetki“ (str. 106).

— W Krakowie zaczął wychodzić miesięcznik, mający u nas debit, *Przegląd literacki*, pod redakcyą K. Bartoszewicza. Każdy jego numer jest bardzo sumiennym i przedmiotowym obrazem ruchu w literaturze naszej. Oprócz sprawozdań z książek, redakcya zaznacza ważniejsze artykuły w czasopismach i zbiera ciekawsze nowiny w granicach swego zadania.

POEZYE.

Z CYKLU

LEGENDY O POEZYI

Józefa Stanisława Wierzbickiego.

MISTRZ.

Mistrz zagrał i czar dziwny w nim zapały budzi:
Usłyszał wkoło jakby wielki oklask ludzi,
W komnacie pustej, kędy pająk wił osnowę
A u stóp mu się kładły blaski księżycowe,
Jak niewolnice wierne. drgając w srebrnym pyle...
On ujrzał tłum słuchaczy, błysło twarzy tyle. —
On znał ich niegdyś, dobrzy, wierni towarzysze
Dziś przyszli, by zaludnić jego pustki ciszę,
Z dalekich stron tu pienia ich znęciły wieszcze.
On czuł pokrewną piersią ich zachwytów dreszcze,
On słyszał ostrym słuchem. co, jak nóż, przewiercu
Grobową ciszę,—każde drgnienie tłumów serca
I płakał. i płynęły, jako łez strumienie
Te tony, w których drgają boleść i wspomnienie,
Płynęły w nieskończoność, pośród blasków sfery.
W księżycu.... i grzmiał wokoło bratni oklask szczery.
Zgasł księżyc, tony zmilkły, taka pustka głucha,
Że, zda się słychać wianie lekkich skrzydeł ducha,
Mistrz skończył, spojrzał wkoło, drżąc pod łez nawałą:
To jego własne serce pieśni tych słuchało.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z PARYŻA.

Pokłosie madagaskarskie. — „Młodzi“ o Aleksandrze Dumasie. — Wiktor Barrucand i jego teorya „chleba darmo“.

Skończyła się wyprawa madagaskarska jak operetka Królowa Ranawalo zmieniła męża o dziesięciozgłoskowem nazwisku na młodego „przyjaciela Francyi“ o ośmiu zgłoskach. Madagaskarczycy otrzymali nowych opiekunów. którzy wśród bicia bębnów i odgłosu trąb zawiesili w tumie Inwalidów przy sztandarach austerlitzkich i solferyńskich czarną szmatę Howańczyków.

Słowem, wszystko wybornie. Gdyby tylko nie ten cmentarz w Madżundze z kilkoma tysiącami zmarłych na żółtą febrę, gdyby nie te żywiące się ciałami ludzkiemi stada rekinów, które przez ocean i morze Śródziemne płynęły za statkami, odwożącymi chorych do Europy i gdyby nie szpitale w Port Said, w Algierze, Marsylii i Tulonie, gdzie umierali żółci jak wosk bojownicy, ranni nie w walce z wrogiem, ale w zapasach z miazmatami zarazy.

Lecz bądź co bądź Francya ma o jeden tryumf wojenny więcej, jej posiadłości zamorskie rozszerzyły się. Pocóż więc teraz wydobywać na wierzch drobne tam jakieś szczegóły, dotyczące żołnierzy, którzy już zmarli i których nikt nie wskrzesi? Opowiadać o niesumiennem zaopatrzeniu apteki wojskowej, o niedbalstwie wodzów i ich obojętności na cierpienia ludzi, prowadzonych w imię ojczyzny?

Fakty te jednak dosadnie charakteryzują kłamliwość czcigodnych deputowanych, członkow Izby i senatu i ich przyjaciół w ziemi francuskiej. Bolesne to policzki dla merów, którzy przy każdym poborze mają mówkę o ojczyznie, o oddaniu się dla niej, o obowiązkach względem tej ukochanej.

Piętnaście tysięcy żołnierzy francuskich wylądowało na brzegach Madagaskaru, trzy tysiące doszło do stolicy. Z oficerów i podoficerów głównie poszkodowanego dwóchsetnego pułku, dwunastu tylko zostało. W marcu umierał dziennie jeden chory, w kwietniu 2, w lipcu już 12, w sierpniu 24, 30, 40, we wrześniu i październiku 45. Sześć tysięcy zmarło, 75% zapadło na żółtą febrę.

Szpitale i lazarety wojenne były wyposażone jak najgorzej. Żadnych środków,

prócz chininy — pisze jeden lekarz. Chininą musieliśmy leczyć wszystko. Żółta febra — dawka chininy, dyzenterya—chininy, złamanie ręki — jeszcze chininy. W innych razach i tego zbrakło. Przewiezienie na wyspę Reunion mogło było wielu uleczyć; niestety, ministeryum nic nie zrobiło w tym zakresie.

Więc chorzy ginęli jak muchy. I—aż zgroza przejmuje—w tej chwili nawet chciwość ludzka nie spała. Przywieziono przed kilku dniami pod eskortą oficera, który razem ze służącymi szpitalnymi systematycznie obdzierał trupy. Każda sakiewka umarłego szła do jego kieszeni, drobny procent dostawał się służącym, teroryzowanym zresztą przez owego rycerza.

Oburzenie z powodu śmiertelności wojsk, wysłanych na wyspę afrykańską znalazło wyraz już przed zdobyciem stolicy. Trupów nie powoła się do życia, ale protesty, które posypały się licznie, mogły wpłynąć na zastosowanie pewnej humanitarności bodaj w późniejszych zajściach. Gdzie tam! Wyzdrowiałych po ciężkiej chorobie, bladych, bezsilnych żołnierzy rozpuszczono do domu. Dalszem zaś ich życiem nawet chwilowo nie zainteresowały się ani patryotyczne merowstwa, ani obie Izby.

Świadek naoczny z miejscowości Morlaix pisze: „Dziś rano jechałem z żołnierzem, wracającym do domu. Istny szkielet, tylko skóra i kości. Drżał z zimna, okryty kapotą napół zjedzoną przez mole, w spodniach wytartych i starych. Nic więcej; puszczono go z koszar i zamiast zatrzymać nieco na południu, aby pod ciepłymi promieniami słońca prowansalskiego przyszedł do siebie, wieziono go do Bretonii. Nie dano ani płaszcza, ani okrycia. Czy to po ludzku? Taka nagroda czeka dobrego obywatela, który pełnił swoją powinność i który może dzięki temu dni ma policzone“.

„Nieszczęsni żołnierze kolonialni— czytam w *Renaissance*—jedni po odbyciu służby, drudzy wróciwszy do zdrowia — przeważnie „bohaterzy“ madagaskarscy—znajdują się bez grosza w kieszeni, bez nadziei zarobku na bruku paryskim. Niektórzy musieli szukać schronienia w posterunkach policyi i tam prosić o przenocowanie.

Wstyd to doprawdy rzucać w objęcia nędzy ludzi, którzy wyjeżdżali zdrowi i silni i którzy teraz nie mają sił do pracy, bo żółta febra je zabrała! Nikt o nich się nie troszczy.

Czyż nie było to hańbą, że żołnierzy madagaskarskich przywiezionych na statku „Taurus“ do Marsylii, zostawiono tak dalece bez środków, iż musieli uciekać się do litości ogółu i przyjmować jałmużnę!

Tak głośno bito w dzwony po śmierci Aleksandra Dumasa, że redakcya „Merkurego Francyi“ (*Mercure de France*) zdziwiona potroszę, wystosowała do literatów i pisarzy młodszego pokolenia listy z zapytaniem, czy i ich serca zgon autora „Denizy“ wypełnia wielkim żalem. Okazało się, że nie wielu przywdziało żałobę; wyszło także na jaw, że dla większości świeżo zmarły był bardzo obojętny i—rzecz charakterystyczna—właśnie ci, po których dramat francuski może wiele sobie wróżyć, dzieł Dumasa nie czytali. Maeterlinck odpowiada: nie przypominam sobie, abym czytał co Dumasa młodszego, a zdolna córka Leona Cladela, Judyta, autorka bardzo utalentowana, pisze: Tak zaczytałam się w Eschylu, że nic mię nie ciągnęło do „Sprawy Clémenceau“.

Na 81 odpowiedzi może dziesiąta część jest przychylna zmarłemu. Inne kładą nacisk na jego płytkość, brak zalet artystycznych, ubóstwo myśli. „Szukam czegoś, coby mię pociągało ku sobie w dramatach Dumasa, ale jakże ciężko idą poszukiwania! Tandeciarskie utwory same na siebie wydają wyrok. Osoby ich nie cierpią, jako stworzenia posiadające serce i duszę, doznają bólu tylko w nadanych im przez autora sytuacyach. Rozmowy banalne, etc. Co to zostanie kiedyś z tego teatru rezonującego, mędrkującego i pełnego pruderyi? Dumas młodszy jest od początku do końca adwokatem. W młodości młodym dependentem średnio natarczywym, na starość prokuratorem oskarżającym; między jednem i drugiem pełni służbę substytuta i oskarżyciela publicznego i od czasu do czasu żąda napuszyście, bez najmniejszego wzruszenia, głów kilku ofiar. Zawsze idzie mu o wrażenie, jakie wywiera na publiczności, a argumenty jego są rozpaczliwie banalne. Requiescat in pace.“

„Dzieła jego, bez żadnej wartości artystycznej, będą miały zaledwie znaczenie dla historyków wieku dziewiętnastego. Z nich dostrzeże on, jak często paradoks rządzi w dziejach i jak nieraz najwięksi przeciwnicy zmian zasadniczych przykładają ręki do ruiny starych ruder. Ale myśl i literatura nic na Dumasie nie straciły.“

Takie jest zdanie wybitnego poety, Piotra Quillarda. Inny, Adryan Remacle, powiada: „Pod pozorem dowcipu rzucił on w oczy kobiety najgorsze grubiaństwa, jakiemi zwykł sypać pijany mężczyzna.“ Zdaniem Juliusza Bois, najlepszy okres działalności pisarskiej Dumasa jest ten, w którym nic nie pisał...

Przeszło od pół roku młody literat, Wiktor Barrucand, tłomacz arcydzieła indyjskiego Wazantazena (Wózek gliniany) za pomocą artykułów (głównie w *Revue blanche*) i wykładów publicznych szerzy pomysł zapewnienia każdemu członkowi społeczeństwa chleba codziennego. Powzięli go jeszcze mężowie rewolucyi francuskiej: Ludwik Viger, poseł do Konwentu z departamentu Mayenne, ogłosił około r. 1792 broszurę p. t.: „Najpierw chleba i to w sposób następujący“ (*Primo du pain et voici comment*). „W jakikolwiek sposób zabierzecie się do dzieła — mówi on — reprezentanci ludu, nie zapominajcie, że nikt nie powinien umierać z głodu i że na was ciąży obowiązek zniesienia śmierci głodowej. Wynajdźcie środek najlepszy i najprostszy, ale w każdym razie jak najprędzej. Od czterech lat przyrzekacie nam rządy ojcowskie; dotrzymajcie słowa albo powiedzcie ludowi, że on do waszej dziatwy nie należy.“

R. 1890 Montaignac w broszurze: „Chleb codzienny zapewniony wszystkim,“ poruszył to samo pytanie, rozwiązując je wszakże dość niejasno. „Głos gmin“ mówił o unarodowieniu chleba w r. 1891, to samo dziennik w Orleanie: „Rozwój dobrobytu.“ W 1892 Bénisti próbował wydawać pismo p. t. „Chleb darmo.“ Nawet Napoleon III zastanawiał się przez czas jakiś nad tą kwestyą, a rada miejska Paryża uchwaliła (1888 r.) w zasadzie uspołecznienie chleba, nie przechodząc zresztą do praktyki.

Wiktor Barrucand drogą własnych rozmyślań doszedł do utworzenia planu, spokrewnionego z wyżej przytoczonymi. Zamiast uciekać się do parlamentu, oddaje on sprawę przedewszystkiem ludziom dobrej chęci, których inicyatywę uważa za podstawową. Dzięki ich działalności — sądzi on — możnaby nakłonić osobne rady miejskie do uchwały następującej: Spożywcy chleba nie płacą piekarzowi, lecz podawszy mniej więcej ilość chleba, potrzebną w pewnym przeciągu czasu, sumę za nią należną składają radzie gminnej. W podobnym wypadku znajdują się jednak tylko ludzie średnio zamożni. Bogatsi do sumy płaconej za chleb muszą dodać pewien procent od swego dochodu, tych zaś, których stan materyalny stoi poniżej normy, zwalnia się częściowo, a w danym razie zupełnie od opłaty. Każdy odbierający od piekarza chleb, zostawia kartkę, każdy też ma prawo do tego. Wartość, jaką te kartki przedstawiają, uiszczona będzie piekarzowi z funduszu wzmiankowanego.

Projekt ten znalazł donośny odgłos w prasie francuskiej i we Włoszech. Podejmując myśl Barrucanda, poseł Klodwig Hugues złożył w Izbie projekt, podpisany przez dwudziestu dwu deputowanych. Formuła jego w niektórych względach podobna do Barrucandowskiej, w pewnej części różni się od niej. Brzmienie jest następujące: 1) Każda municypalność Francyi musi zorganizować produkcyę chleba. 2) Będzie on rozdawany darmo spożywcom, a należność zań piekarze mają pobierać z kasy gminnej. 3) Inspektor gminny kontroluje księgi rachunkowe piekarza. 4) Chleb brany od piekarza będzie zapisywany do książeczki osobistej lub rodzinnej, wydanej przez mera i do księgi w każdej chwili kontrolowanej. 5) Koszty opłaty piekarza ściągnie municypalność za pomocą środków zwykłych.

W. Bugiel.

LIBERUM VETO.

Utyskiwania Pługa nad wydziedziczonymi. — Dla kogo jest u nas potrzebna kasa literacka. — Proletaryat pióra. — Dwie kategorye. — Nasze żale i placyk za Żelazną Bramą. — Wyścigi lubelskie i nadzieja wspaniałomyślności totalizatora. — Co lud czyta chętnie a co niechętnie.—Jego idealizm i pragnienie wiedzy.— Czego nas uczą więźniowie w katordze. — Nieszczęśliwa orkiestra warszawska. — Cała nadzieja w p. Namysłowskim.

Pług wystąpił w *Kuryerze warszawskim* z obszerną obroną „wydziedziczonych“ — to jest — literatów. „Wydziedziczonymi“, według niego, są oni ze wszystkich tych dobrodziejstw, których używają inne zawody, zwłaszcza w zabezpieczeniu życia od złych wypadków losu. Rzemieślnik, lekarz, adwokat, urzędnik itd. w razie nieszczęścia ma swoją kasę, która jemu lub jego rodzinie niesie pomoc materyalną; literat nie ma nic podobnego. Dotknięty chorobą lub kalectwem, pozostaje bez żadnego ratunku, musi sam zejść do nędzy, a po zgonie oddać jej na pastwę swoje dzieci. Należy zaś zważyć, że ludzie ci, skazani na dolę opuszczonych sierot społeczeństwa, są nietylko jego kwiatem, nietylko piastują najwyższe jego ideały i zaspakajają najszlachetniejsze potrzeby, ale nadto—jako dziennikarze—są to pracownicy ciężkich robót, pchający swą taczkę przez kilkanaście godzin dziennie, niemający zapewnionego odpoczynku ani w nocy, ani w święta. Za co oni zostali tak okrutnie „wydziedziczeni“? Czyż nie wysługują sobie prawa do uorganizowanej opieki?

Cały ten dramat jest w pewnej mierze prawdziwy, ale jeżeli on ma się stać pobudką do jakichś działań zaradczych, wymaga ograniczenia i wyjaśnień. Przedewszystkiem stwierdzić trzeba, że proletaryat naszej literatury i dziennikarstwa jest stosunkowo nieliczny, a niedola najczęściej przygniata jedną kategoryę pisarzów — zajmujących się nauką. O nędzy dziennikarzów, publicystów, autorów powieści, dramatów lub komedyj słyszymy bardzo rzadko, a i wtedy jeszcze bywa ona raczej wynikiem życia nad stan, niż niemożnością zarobku. Natomiast nierzadkie są dochody reporterów, dosięgające kilku tysięcy rubli rocznie, nierzadkie pensye lub honorarya fejletonistów lub powieściopisarzów, zapewniające im egzystencyę zbytkowną. Nie można przy-

tem spuszczać z uwagi, że znaczna większość t. zw. dziennikarzów nie obejmuje bynajmniej jednostek wyjątkowo utalentowanych lub przygotowujących się do swego zawodu długiemi i mozolnemi studyami, lecz składa się z ludzi bez wybitnych uzdolnień i nauki, posiadających zaledwie kapitalik wiedzy pięcioklasowej lub elementarnej i odznaczających się jedynie wprawą gładkiego a nie zawsze ortograficznego pisania. Gdybyśmy tym „przewodnikom opinii publicznej," mającym pretensyę do dostatku, wskazali najznakomitszego poetę czeskiego, Vrchlickiego, który mieszka z rodziną w trzech małych pokoikach bez „salonu," wzruszyliby na niego wzgardliwie ramionami. Gdybyśmy im wskazali setki ludzi, obdarzonych dzielnym umysłem i uniwersyteckiem wykształceniem, którzy pasują się z biedą na kilkowłókowych folwarkach, skromnie uposażonych urzędach lub wyniszczających siły guwernerkach, obraziliby się srodze za to krzywdzące ich porównanie. Bo oni są „śmietanką inteligencyi" i z tego tytułu należy im się więcej, niż zwyczajnym serwatkom. Ich „stanowisko obowiązuje," oni „muszą" żyć inaczej—i dlatego zarabiając np. 1,000 rs. rocznie, wystarczających nauczycielowi gimnazyum lub buchhalterowi, cierpią niedostatek.

Całkiem inna sprawa z uczonymi. Ci, jeśli nie mają zasobów osobistych, nie odziedziczyli spadku lub nie otrzymali sowitego posagu, zwykle udzielaniem lekcyj prywatnych ratują się od zupełnego ubóstwa. W służbie publicznej bowiem sił swoich nie zużytkowywują, w literaturze i prasie społeczeństwa dość obojętnego dla nauki, stanowią żywioł najmniej pożądany a więc najmniej płatny, na opracowywanie dzieł poważnych nie znajdują ani czasu, ani czytelników i nakładców; to też choroba, kalectwo, starość wytwarzają im rzeczywiście położenie okropne.

W tych warunkach i stosunkach czego nam potrzeba? Czy jakaś kasa literacka byłaby zbyteczną? Bynajmniej. Według mojego przekonania, niedola jednego człowieka jest dość ważną kwestyą, ażeby nad nią rozmyślało całe społeczeństwo. A tu nie chodzi o jednego, lecz o gromadkę ludzi, których młyn dziennikarski miażdży, którzy wpadają w otchłań nędzy bądź przez lekkomyślność, bądź przez zgubne zrządzenie losu. Ponieważ zaś — jak zaznaczyłem — ciężar tego obowiązku nie byłby wielki, więc tem łatwiej go dźwignąć. Jakiemi siłami? Zdaje mi się, że nikt z pracujących na polu piśmiennictwa nie odmówiłby stałej składki, a z tego źródła i z innych zebrałby się wkrótce fundusz, wystarczający dla utrzymania lub podtrzymania kilku biedaków niezdolnych zarobkować lub nieszczęśliwców przywalonych niepowodzeniem i długami. Mówię: kilku, bo — jak rzekłem — nie wierzę w liczny u nas proletaryat literacki, zasługujący rzeczywiście na pomoc i opiekę. Nie wątpię — a mam pod tym względem rzetelne informacye — że znalazłoby się wielu amatorów „pożyczek" nigdy niezwracanych, ale o tę kategoryę potrzebujących chyba najmniej dbać powinniśmy. Pod naciskiem takich gustów runęłaby nawet bardzo zasobna kasa, a cóż dopiero jakaś skromna skarbonka literatów warszawskich! Musiałaby ona podlegać gospodarce bardzo oszczędnej i surowej.

No, ale dlaczego jej nie zakładamy? Obawiam się, czy z nią nie zachodzi ten wypadek, co z placykiem za Żelazną bramą. Przed kilku laty czytaliśmy w różnych pismach artykuły, dowodzące, że magistrat powinien go oddać ogrodnikom na handel owocami. I dziwiliśmy się niezmiernie, że zarząd miasta jest tak nieczuły na zwracane ku niemu argumenty, prośby i westchnienia. Nareszcie przed parą miesiącami na zebranie członków Towarzystwa ogrodniczego przybył przedstawiciel tej władzy, który podczas wznowionych jeszcze raz życzeń oświadczył, że Magistrat dlatego nie oddał owego tak gorąco upragnionego placyku na handel owocami, bo... nikt go o to nie prosił. A zatem: *videant consules* przyszłej kasy literackiej, ażeby nie zapomnieli o... wniesieniu odpowiedniego podania.

Cóż na tem skorzystają najgodniejsi poparcia nasi niezamożni uczeni? Oni już mają swoją kasę — Mianowskiego, podobną do stojącego a niezepsutego jeszcze zegara, który trzeba tylko dobrze nakręcić (naciągany już był nieraz), a będzie chodził regularnie. Innemi słowy: trzeba w nią wlać życie i taką energię, którąby umiała z jednej strony pospieszyć z pomocą ludziom i przedsięwzięciom poważnym, z drugiej odeprzeć natarczywe apetyty na pożyczki, których jedynym owocem dla nauki jest — figa.

W naszym bogatym narodzie, który podczas krótkiego karnawału może się zdobyć na tysiąc kosztownych balów, który nawet ubogich karmi i odziewa w zbytkownych strojach i gdy filantropii daje rubla, magazynom i restauracyom sto, w narodzie milionerów o wszystko bardziej kłopotać się należy, niż o pieniądze. Tego dobrego mamy w bród! Jeżeli przy obecnych marnych cenach zboża i tylokrotnie opłakanym w elegiach „kryzysie rolnym," ziemianie lubelscy mogą starać się o urządzenie u siebie wyścigów końskich (w Łecznie), to chyba nie zbraknie nam środków na kasę literacką. Trzeba tylko im nizko ukłonić się — a gdy to nie poskutkuje — zarżeć. Dadzą nam 10% od rocznego obrotu totalizatora i będziemy mogli chorych reporterów wysyłać do Ostendy i Biarritz.

W kilku pismach poruszono znowu sprawę książek dla ludu. Sądzę, że główną przyczyną nieporozumień w zasadach i błędów w czynach jest brak materyału obserwacyjnego. My rozprawiamy o potrzebach i upodobaniach ludu, snując przy biurkach logiczne dedukcye, które w praktyce okazują się całkiem fałszywemi. Tak np. zdawało nam się, że realistyczne utwory Prusów, Dygasińskich z życia wiejskiego znajdą szczególnie chętnych czytelników śród włościan, że oni z zachwytem zagłębiać się będą w opowieści o losach Ślimaków, Michałków, Beldonków. Tymczasem lud — jak zapewniają ci, którzy go badali — nietylko nie zachwyca się takiemi nowelami, ale ich wcale czytać nie chce, a zagadnięty w tym przedmiocie — tłomaczy się:

— Że chłop babę czasem wypierze, że parobek ożeni się z gospodarską dziewuchą, że dziad ukradnie kiełbasę, że krowy w zimie chude a masło drogie — to my dobrze wiemy i szkoda czasu panów na takie pisanie.

Człowiek prosty, niewykształcony w swych myślach i upodobaniach, nie odczuwa wcale artyzmu utworów beletrystycznych, a w książce szuka treści, nie formy. Chłop nasz swojej rzeczywistości nie lubi, więc nie lubi jej obrazów literackich, a talentu w odtwarzaniu jej ocenić nie umie. Dla nas jakiś Michałek lub Ślimak Prusa jest postacią mało znaną, świeżą, a przytem zajmującą w artystycznem przedstawieniu; dla włościanina jest on istotą powszednią, a jego artyzm — niedostrzegalnym. Chłop wymaga od każdej książki nie sztuki, lecz nauki; dlatego czyta on najchętniej te, które mu ukazują nieznane światy, nieznane stosunki, fakty i prawdy. Jest on w daleko wyższym stopniu, niż my ukształceni, idealistą i chciwym wiedzy. Opowieści fantastyczne, opisy podróży, obrazy nadzwyczajnych poświęceń, odwagi, cnoty, wszelkie bajki — słowem, cała literatura dziecinna, z drugiej zaś strony jasne i barwne wykłady astronomii, geografii, geologii, historyi itd. — oto jego ulubiona lektura, której się oddaje z dziwną wytrwałością każdej swobodnej chwili. Jest to wreszcie faktem nader pouczającym a wielokrotnie zauważonym, że lud w zakresie beletrystyki lub poezyi woli opowiadania długie, niż krótkie. Mocne potwierdzenie tego faktu znajdujemy w świeżo ogłoszonem sprawozdaniu jednego z pisarzów rosyjskich, który w t. zw. „katordze" (ciężkich robotach) czytał kolejno skazańcom rozmaite utwory swojskie i obce. Otóż spostrzegał on, że większych słuchano z ogromnem zajęciem i niestrudzoną uwagą, podczas gdy drobne nie sprawiały wrażenia. Tak np. więźniowie gotowi byli po dziesięć razy słuchać obszernych powieści Dickensa, a tak, zdaje się, zrozumiały i ponętny dla nich „Szynel" Gogola nudził ich. Zjawisko to objaśnia się naturalnie: umysł nieoświecony, ciężki, z trudnością wprawiający się w ruch, zanim zdąży uchwycić wątek krótkiej noweli, nagle jej nić mu się urywa; natomiast przy powieści długiej ma czas się rozruszać i wtedy już ciekawość go nie opuszcza. Jest to bardzo ważna wskazówka dla autorów i wydawców książek ludowych.

Brak mi już miejsca na rozbiór drugiej chronicznej dolegliwości naszej, którą również teraz wrzucono w kociołek rozpraw dziennikarskich, mianowicie stałej orkiestry warszawskiej. Jakkolwiek ciekawą jest niezbadana dotychczas tajemnica, czemu Warszawa nie może zdobyć się na to, na co zdobyły się takie miasta niemieckie, jak Toruń lub Norymberga (pomimo że wszyscy na czemś gramy), dociekać przyczyny nie będę i tylko poradzę zakłopotanym inicyatorom, ażeby się zwrócili po objaśnienie już nie do Torunia i Norymbergi, ale do p. Namysłowskiego. Niechże on nam powie, jakim sposobem stworzył orkiestrę z kilkunastu prostych chłopów i dlaczego my jej zebrać nie możemy z kilkuset wykształconych muzyków?

Poseł Prawdy.

W DALI.

Lublin. W mieście Kraśniku wykryto tajemne bractwo żydowskie „Chawre Kałe". Stowarzyszenie to, zawiązane przed kilku laty, do którego należało kilkadziesiąt osób, przeważnie ze sfery rzemieślniczej, miało na celu zbieranie ofiar i stałych składek od starozakonnych mieszkańców miasta; z tego funduszu wyposażało ubogie dziewczęta, wychodzące za mąż, wspierało nędzarzy nie mogących znaleźć pracy i utrzymania, itd. Skutkiem zbyt wielkiej energii członków w ściąganiu składek, ktoś z niechętnych wydał organizacyę przed władzą. Rewizya wykryła księgi rachunkowe, listę osób, do stowarzyszenia należących, a nawet pieczęcie. Dowody przesłano prokuratorowi dla pociągnięcia winnych do odpowiedzialności karnej.—Cukrownia Zakrzówek Fabryczny, idąc za przykładem innych, zniżyła znacznie cenę korca buraków, skutkiem czego w roku ubiegłym wielu plantatorów zaprzestało zupełnie uprawy i z tego powodu wywiązały się ostre stosunki fabryki z producentami, które nawet doprowadziły do kroków procesowych. Obecnie —jak donosi *Wiek* — pojednanie w zasadzie przez obie strony jest postanowione; główniejsi plantatorowie upoważnili z pomiędzy siebie p. Przewłockiego, właściciela dóbr Wola Gałęzowska, do zawarcia umowy z właścicielem cukrowni, o zbiorową uprawę na rok bieżący, pod warunkami przez swego pełnomocnika ułożonymi. Żądają oni ostatecznie 85 kop. *loco* za korzec produktu, wagi 300 funtów, lecz zastrzegają dozór ze swej strony przy wadze i odbiorze.

Żytomierz. Dyrektor gimnazyum żytomierskiego urządza wycieczkę z uczniami za granicę. Każdy z uczestników złoży po rs. 85, z czego rs. 50 wydane będzie na bilety kolejowe; cała

partya wyjedzie na miesiąc, po drodze zwiedzi Lwów, Kraków, Wiedeń, Salzburg, Monachium, Landau, Zurych, Lucernę, St-Gothard, Como, Medyolan, Weronę, Padwę, Wenecyę Bolonię, Florencyę i Rzym. Powrót przez Fiume i Peszt, lub też morzem przez Ateny i Konstantynopol do Odesy. W razie wybrania tej ostatniej drogi zaniechane będzie zwiedzenie Bolonii, Florencyi i Rzymu. Przez jezioro Boden uczniowie pojadą na statku, a od Zurychu do Lucerny pójdą piechotą. Kandydatów zapisało się już około 20. Na tak wielką podróż cena jest nieprawdopodobnie małą i chyba mylnie obliczoną.

Mińsk. Przybyły trzy nowe jarmarki — w Nieświeżu, mające na celu głównie konie i bydło. Interesowani wróżą stąd podniesienie hodowli inwentarza. Na pierwszym jarmarku już było sporo reproduktorów, sprowadzonych z dalszych okolic.—Założony przed kilku miesiącami bezpłatny przytułek położniczy oddaje wielkie usługi ludności ubogiej. W ciągu sześciu miesięcy korzystało z niego, 51 kobiet, z tych 17 zamężnych. Od chwili powstania tej instytucyi podobno zmniejszyła się w mieście liczba dzieciobójstw. Przytułek posiada tylko osiem łóżek.

Petersburg *Petersb. Wied.*—zapewniają, że ostatecznie postanowiono utworzyć gubernie Elizewetgracką i Chersonską.—Komitet asekuracyjny ministeryum spraw wewnętrznych podał wniosek, aby przy ubezpieczeniach w towarzystwach amerykańskich „z udziałem w zyskach“ uczestnicy w obrębie państwa rosyjskiego mieli prawo do zysków z ogólnych operacyj w Ameryce.— W Szangaju otwarto już Bank rosyjsko-chiński.—Komisya pod przewodnictwem członka rady ministeryum rolnictwa i dóbr państwa, rz. r. st. Arnolda, ukończyła swoje zajęcia i opracowała typ organów miejscowych ministeryalnych. Mają to być izby okręgowe. Do petersburskiej należeć np. będą gubernie: Petersburska, Pskowska, Kowieńska, Grodzieńska, Mińska, Mohylewska i Witebska; do kijowskiej—Kijowska, Podolska i Wołyńska i t. d. Przy izbach utworzone będą posady statystyków okręgowych.

SPRAWY EKONOMICZNE

W SEKCYI ROLNEJ.

Wystawa nasion pod chłostą sekcyi rolnej. — Środki naprawy — P. Chełchowski — o owsie i jego znaczeniu w gospodarstwie. — Związek przemysłowo-handlowy.

Z powodu nawału spraw z dziedziny ekonomicznej, nie mogliśmy w r. b. wprowadzić czytelników do sali obrad naszych ziemian, pomimo że tam już po raz trzeci roztrząsano ważne kwestye. Obecnie wystawa nasion wpłynęła na przyspieszenie zebrania, pomimo to było jednak za późno na naprawę omyłek, powtarzanych systematycznie od lat wielu. P. Sempołowski bardzo słusznie poddał chłoście ten popis jałowy. Pierwsza wystawa r. 1886 obudziła jakie takie zainteresowanie, wzięło udział 120 producentów. Następnie cyfra stopniowo spadała, w r. 1890 wynosiła już tylko 28-miu, dzisiaj zaś ledwie 25-ciu w dziale nasion. Zadaniem tych wystaw miało być ułatwienie rolnikom nabywania wzorowych gatunków ziarna na zasiew. Okazało się atoli, że ziemianin nietylko nie nabyć nie może, ale jeszcze naraża się na stratę czasu i pieniędzy dla obejrzenia przedmiotów niepotrzebnych. Hodowcy nasion stawiają tak wysokie ceny, jakich nie ma na rynku nawet przy grze spekulacyjnej. Ostatecznie tedy po doznanym zawodzie rolnik udaje się do domów handlowych lub pośredników. Obecna wystawa jest najgorsza, nie daje potrzebnych informacyj, zaleca gatunki mocno w reklamie, ale słabo i zawodne w uprawie. Przytem, dawnym zwyczajem, panuje chaos okropny w ugrupowaniu. To też zdarzały się wypadki, że np. kartofle jednego gatunku nosiły kilka nazw. Słowem — jest to tylko parodya wystawy. Dla Królestwa Polskiego, doprawdy, wstyd wielki, bo nawet prowincye, stojące na niższym szczeblu kultury, o wiele poważniej tę rzecz traktują.

P. Sempołowski proponuje pewne zmiany na przyszłość. Wystawa przedewszystkiem powinna nosić charakter pośrednictwa handlowego, bez cienia spekulacyi i reklamy nierzetelnej. Nagrody mogą otrzymać tylko tacy eksponenci, którzy udowodnią, że mają do sprzedania sporą ilość ziarna, przynajmniej 50 pudów. Komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa powinien urządzać wystawy specyalne, częstsze, np. kartofli, pszenicy itd. Przytem należy zorganizować zbiorowe próby porównawcze. Wszystkim interesowanym trzeba dawać bezpłatnie katalogi szczegółowe, których dotąd wcale nie ma. Wszędzie za granicą stanowi to warunek niezmiernie ważny. Pozazdrościć można obcym tych wskazówek rzetelnych, wyczerpujących, popartych mnóstwem danych pożytecznych i rysunkami. Jest to osobny rodzaj wydawnictw, rozrzucanych w tysiącach egzemplarzy. Ta niezbędna potrzeba, uwzględniana za granicą szeroko dla dobra nabywców i sprzedawców, u nas jest uważana jeszcze za zbytek, a warunek bezpłatności wcale nie istnieje, pomimo że można go łatwo osiągnąć za pomocą działu ogłoszeń w takich katalogach.

Każda wystawa nasion powinna złożyć jakąś ofiarę na rzecz stałych zbiorów w celach pouczających dla rolników. Zdaje się, że obecnie będziemy już mieli jakiś początek w tej mierze, bo kilku wystawców ofiarowało cenne okazy, jak np. kolekcyę fosforytów, i nowych roślin motylkowych zasuszonych. Ale oto przychodzi nam na myśl znamienne przysłowie poleszuka: „Dał Pan Bóg ciele, lecz nie dał chlewa.“ Są zbiory, lecz nie ma gdzie ich umieścić. W takim samym kłopocie była delegacya ochrony roślin przed szkodnikami. Czyżby komitet Muzeum nie mógł istotnie jakiego kącika wyznaczyć, chociażby przez usunięcie rupieci niepotrzebnych?

Niejakie pokrewieństwo z kwestyą nasienną miał wykład p. Stanisława Chełchowskiego o owsie. Jak wiadomo, Królestwo Polskie pod tym względem dotąd znajduje się w warunkach nienormalnych. Nie może bowiem wytworzyć potrzebnej ilości ziarna powyższego na własny użytek, tak dalece, że nawet p. A. Suligowski w swojej pracy o taryfach proponował specyalną zniżkę opłaty przewozowej dla ułatwienia transportu tego produktu z Cesarstwa. Według p. Kłobukowskiego, na hektar powierzchni wytwarzamy 9,41 hektolitrów owsa, podczas gdy w Cesarstwie ilość ta sięga 12,90, w Austryi 18,90, Stanach Zjednoczonych 21,95, Niemczech i Francyi 25,15, Kanadzie 32,90, Anglii 33,10, wreszcie w Belgii — 35,86. Przeciętna plonów zagranicznych daje 27,60 hektolitrów, tj. trzy razy więcej, niż u nas. Wprawdzie inne dane wykazują, że produkcyę ową umiano nieraz w Królestwie podnieść do 12 hektolitrów, ale i to jeszcze zbyt skromna cyfra. Wobec tak małej wydajności wytwórczość nasza nie jest w stanie zaspokoić potrzeb kraju. Według danych z r. 1887 i 1888, obszar ziemi, obsianej owsem w Królestwie Polskiem, wynosił 1,636,000 morgów, tj. zaledwie 14% ogólnej przestrzeni gruntów uprawnych. Przy przeciętnej wydajności 7 korców z morga, produkujemy 12 milionów korcy ziarna, którego kraj potrzebuje blizko dwa razy tyle, liczy bowiem 1,200,000 koni, w znacznej części żywionych owsem przez rok cały. Praktyka dowiodła, że ani charakter gruntów, ani warunki klimatyczne nie stoją na przeszkodzie uprawie powyższej rośliny. Przecież w krajach północnych zajęła ona wybitne miejsce: w Szkocyi sięga do 58°, Szwecyi 63°, a Norwegii i Rosyi 65° szerokości północnej. Owies wymaga wilgoci; u nas zaś suma opadów atmosferycznych o wiele jest wyższą, niż w guberniach środkowych i czarnoziemnych, skąd znaczne ilości tego ziarna otrzymujemy.

P. Chełchowski twierdzi, iż przyczyną upośledzenia owsa w produkcyi zbożowej jest ogólny układ i organizacya naszych gospodarstw, które przy przechodzeniu z trzypolówki w rotacye płodozmienne dały silną przewagę uprawie ozimin. Według dr. T. Kowalskiego, owies właściwie postawiony w płodozmianie, dać może plon, wyrównywający swą wartością zbiorowi najcenniejszego ziarna. Co do odmian, najwięcej u nas rozpowszechnione obce: niemieckie, angielskie, amerykańskie, francuskie i rosyjskie, krajowe zaś zajmują miejsce poślednie. Otóż p. Chełchowski staje w obronie zapomnianych i zaniedbanych zbóż krajowych, wytworzonych przez warunki miejscowe tudzież przystosowanych do wymagań gleby i klimatu. Od lat kilku prowadzone pod kierunkiem prof. Sempołowskiego próby nad plennością zbóż, wykazały wysoką wartość pszenicy sandomierki, jęczmienia nadwiślańskiego i owsa — „rychlika lubelskiego.“ Należałoby także ocenić rzetelnie i zbadać rychlik z innych okolic, kartoflarze i marczaki, owsy późne, szeroko rozpowszechnione w gub. Płockiej i Łomżyńskiej. Odmiany nasze, chociaż odznaczają się ziarnem niepokaźnem, będą wszakże stanowiły doskonały materyał do wytworzenia nowych za pomocą uszlachetniania.

Praca p. Chełchowskiego zasługuje na szczególną uwagę, daje bowiem bardzo cenne, dokładne wskazówki, dotyczące uprawy i rodzajów gleby, nawożenia, gatunków owsa, jego pielęgnowania itd. Słowem, może to być podręcznik wielce pożyteczny, tem bardziej, że dużo jest tam spostrzeżeń, opartych na własnej praktyce autora. Gorąco on zachęca ziemian naszych do rozszerzenia i podniesienia uprawy owsa, który w jednym roku z procentem zwróci koszt, wyłożony na zakup cięższych narzędzi spulchniających. Mówca podał następujące bardzo ważne warunki: 1) Aby na przyszłorocznej wystawie nasion ogłosić specyalne konkursy na owies, z uwzględnieniem jego plenności, wytrzymałości na suszę i wydajności słomy. 2) Przeprowadzić jednocześnie pod kierunkiem stacyi Sobieszyńskiej zbiorowe próby nad wydajnością odmian, uznanych za najplenniejsze i najlepsze, z poważnem uwzględnieniem gatunków krajowych. 3) Wreszcie zorganizować badania meteorologiczne, które w tym razie mogą mieć doniosłe znaczenie.

Chcemy wierzyć, że praca p. Chełchowskiego nie spocznie bezowocnie w archiwach sekcyi rolnej. Młody ziemianin, obdarzony poważnym, głębszym umysłem i wiedzą gruntowną, już nie po raz pierwszy występuje z pożyteczną i doniosłą sprawą. Jego inicyatywie i energii zawdzięcza istnienie bardzo pożyteczna stała delegacya ochrony roślin. Obecnie z żywego zajęcia słuchaczów produkcyą owsa, można wnosić, że sprawa wejdzie w życie, że z czasem ogół rolników naszych postara się usunąć to wielce nienormalne zjawisko. Kraj względnie o wysokiej kulturze, zawalony nadmiarem wszelkich zbóż, dręczony niskiemi cenami, nie może się zdobyć na wyprodukowanie takiej ilości owsa, którejwystarczyłoby przynajmniej na jego własne potrzeby, pomimo że zarówno gleba, jak warunki klimatyczne i atmosferyczne najzupełniej sprzyjają uprawie tej rośliny, cieszącej się na

rynkach stałością cen, nie wymagającej wielkiego nakładu i pracy mozolnej. Liczne przykłady z praktyki aż nadto wymownie przekonywają, że rozwój produkcyi tego ziarna i wprowadzenie na rynki miejscowe może wzmocnić podstawy rolnictwa i dać mu większą równowagę.

Na porządek dzienny posiedzenia poniedziałkowego wniesiono nagle, bez uprzedniej zapowiedzi, sprawę syndykatów rolnych. Wchodziła ona na stół prezydyalny i schodziła do szuflad już nieraz, więc nie budziłaby i obecnie szczególnej uwagi, gdyby nie to, że niemal forsownie nagięto ją do życia. Inicyator, p. Gosiewski, streścił ustawę syndykatu kijowskiego i z nieznacznemi poprawkami zalecił jako wzór. Celem tej organizacyi jest: Niesienie pomocy stowarzyszonym w kupnie niezbędnych przedmiotów dla gospodarki tudzież zbycie produktów. Ma ona prawo urządzać składy, magazyny, agentury w kraju i za granicą, wydzierżawiać pomieszczenia, zawierać umowy. Związek taki odpowiada jedynie swoim majątkiem, a więc członkowie w razie katastrofy materyalnej tracą tylko kwotę wpisową. Uczestnikami mogą być zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Wpisowe od każdej osoby i akcyi wynosi 10 rs., akcya zaś kosztuje rs. 100; można ją spłacać częściowo. Pięć akcyj daje prawo głosu. Pięciu posiadaczy akcyj pojedynczych stanowią razem jeden głos. Kapitał, jak zwykle w takich instytucyach, jest obrotowy i zapasowy; drugi nie podlega aresztowi wierzycieli. Pomijam wszelkie inne warunki i szczegóły, które w danej chwili są dla nas obojętne. Chodzi tylko o sam fakt: projektodawca przyszedł z wzorem ustawy i zachęca rolników do zawiązania syndykatu. Wniosek jego popiera energicznie p. Jezierański i kując żelazo gorące, rozgrzane na ogniu, własnemi płucami, własną wymową rozdmuchanym, zbiera od członków sekcyi podpisy, poparte zaliczką, na rzecz przyszłego syndykatu, którego zatwierdzenie prawie jest pewne, gdyż ministeryum rolnictwa chętnie popiera wszelkie organizacye tego rodzaju. P. Jezierański oczywiście dowiódł stanowczości i energii wielkiej i jeżeli się nie znuży tem ciągłem podniecaniem obojętnych — stworzy dzieło, za które ogół ziemian wdzięczny mu będzie.

Fakty wykazały, iż wszystkie tego rodzaju związki za granicą i w kraju cieszą się wielkiem powodzeniem, np. kowieński, kijowski, szczególnie zaś libawski. Zorganizowany on jest świetnie, zaopatruje swoich związkowych spożywców w niezbędne przedmioty, wprost od wytwórców kupowane. Można więc tam znaleźć żelazo z Upsali, szlakę z nad Renu itd. Członkowie korzystają z wielkiego ustępstwa w cenach, otrzymują towar w wyborowych gatunkach; jednocześnie mają możność łatwiejszego zbytu swoich wytworów i tym sposobem zyskują podstawy dla taniej produkcyi, co w dalszym ciągu nie może być bez korzyści dla szerszego ogółu konsumentów. O powodzeniu związku libawskiego p. Jezierański, który się przyjrzał tamtejszej gospodarce, ciekawe szczegóły opowiada. Wedle ustawy, w razie jakiej szczerby materyalnej, poniesionej przez organizacyę, członkowie dokładają pewną kwotę. Otóż gdy się niedawno zdarzyła taka potrzeba, zarząd był w prawdziwym kłopocie nie z braku pieniędzy, lecz ich nadmiaru. Członkowie pospieszyli z nadpłatą tak hojną, że musiano ją zwracać.

Związek przemysłowo-handlowy, projektowany dla Królestwa Polskiego, będzie oparty na akcyach stosunkowo niedrogich. Mogą więc, a nawet powinny wziąć udział jak najszersze koła ziemiańskie; od tego bowiem będzie zależało powodzenie organizacyi. Obawy, że ministeryum nie zechce zatwierdzać przepisów wszelkich stowarzyszeń ziemiańskich przed całkowitem opracowaniem ustaw normalnych dla takich zrzeszeń, nie mają najmniejszej racyi, owszem — najwyższy ster spraw rolnych sam zachęca ziemian do ruchu w tym zakresie; wzór zaś ministeryalny będzie tylko do pewnego stopnia ułatwieniem. Każda prowincya kraju posiada osobne, właściwe sobie warunki, których nie można nagiąć do ustawy ogólnej, lecz przeciwnie trzeba—opracowywać ją i zmieniać według potrzeb miejscowych. Wszelkie zatem przepisy projektowanych związków rolniczych ministeryum przychylnie będzie rozpatrywać, gdyż tym sposobem samo łatwiej zapozna się z istotnemi potrzebami rolnictwa, ażeby je następnie tem skuteczniej popierać.

Dalsze losy związku ziemian naszych przekazano osobnej delegacyi, w której skład weszli pp.: F. Zakrzewski, Dzierzbicki, Fr. Górski, Łubieński, Przanowski, T. Kowalski, Jórski, Wyganowski i sam projektodawca, p. Gosiewski, jako prezydujący.

Zen. Piet.

UBEZPIECZENIE ROBOTNIKÓW.

W ogłoszonych świeżo „Pracach“ Towarzystwa przemysłu i handlu (Petersburg) znajdujemy podanie oddziału łódzkiego w sprawie odpowiedzialności właścicieli zakładów przemysłowych za kalectwo i śmierć robotników. Ponieważ kwestya ta jest ciągle na porządku dziennym, poglądy zaś interesowanych przedsiębiorców posiadają dużo szczegółów charakterystycznych, warto więc o tem słów kilka powiedzieć. Władzom wyższym złożono projekt prawa, które p. minister skarbu opatrzył własnemi uwagami mniej więcej tej treści: Najlepszem rozwiązaniem kwestyi byłoby wprowadzenie obowiązkowych ubezpieczeń robotników. Ale ponieważ przepisy w tej mierze wymagają długiej, mozolnej pracy, badań szczegółowych i wszechstronnych, roztrząsania wszelkich form asekuracyi (państwowej, prywatnej, zbiorowej, z udziałem lub bez udziału państwa i robotników), więc obecnie jest rzeczą konieczną wydanie prawa, pociągającego właścicieli zakładów przemysłowych do odpowiedzialności za śmierć i kalectwa. Mianowicie należy ich zmusić do wynagradzania pieniężnego poszkodowanych lub ich rodzin.

Ten właśnie pogląd wielce zaniepokoił fabrykantów łódzkich, którzy za pośrednictwem oddziału Towarzystwa przemysłu i handlu w takiem oświetleniu przedstawiają stan rzeczy: Śród przemysłowców jest wielu posiadających tak szczupłe środki, że jeżeliby musieli jednorazowo wynagrodzić dwu lub trzech poszkodowanych, byliby zrujnowani. W jakiejś np. fabryczce, dzierżawionej przez przedsiębiorcę, posiadającego 10—15 tys. kapitału, ucierpiało dwu robotników, którym trzeba płacić 600 rs. rocznie, czyli miesięcznie 50 rs. W razie zwłoki fabrykant musiałby, wedle art. 9 prawa projektowanego, wnieść do kasy rządowej fundusz w rozmiarach 12—15 tysięcy rubli. Prawda, że pieniądze te zwrócono by mu po śmierci pensyonarzy poszkodowanych, ale na razie byłby on całkowicie pozbawiony środków, więc nie pozostałoby nic innego, jak zwinąć przedsiębiorstwo. Wielu właścicieli, a tem bardziej dzierżawców fabryk drobnych, posiada kapitały, wynoszące zaledwie 6, 8 lub 10 tysięcy rubli. Mogliby oni wprawdzie zawczasu ubezpieczyć wszystkich swoich robotników. Ale i tutaj na opłatę premij trzeba byłoby co rok ponosić znaczne wydatki. W braku nieszczęśliwych wypadków przez pewien szereg lat, ubezpieczenie to może się wydać mało inteligentnemu lub lekkomyślnemu przedsiębiorcy marnowaniem pieniędzy. Przerwie tedy asekuracyę; ale naraz zdarzą się potem wypadki i „oszczędny“ poniesie straty, prowadzące do ruiny. Skutkiem tego i sami poszwankowani nie będą mieli na czem strat poszukiwać. Obie zatem strony wyjdą źle.

Otóż Towarzystwo łódzkie podaje inny sposób wyjścia. Zdaniem jego, należy skłonić fabrykantów do ubezpieczania robotników w istniejących towarzystwach asekuracyjnych, pod grozą grzywny i odpowiedzialności osobistej za uchylanie się od przyjętych zobowiązań. Jeżeliby stowarzyszenia asekuracyjne w obrębie Rosyi skutkiem tego urządziły zmowę, trzeba dopuścić do współzawodnictwa instytucye zagraniczne najpoważniejsze i wreszcie ułatwić przemysłowcom organizacyę własnych stowarzyszeń ubezpieczenia wzajemnego od wypadków nieszczęśliwych.

Artykuł drugi projektu prawa zalicza do „wypadków nieszczęśliwych“ także „choroby zawodowe.“ Nie ulega wątpliwości — mówi odezwa łódzka — że jeżeli nie wszystkie rodzaje pracy fabrycznej, to przynajmniej znaczna ich część wpływa ujemnie na zdrowie robotników, powoli je osłabia, ale również trzeba się zgodzić z tem, że tylko bardzo rzadko można z zupełną pewnością stwierdzić fakt, że dana choroba wynikła istotnie skutkiem pracy, lecz nie z usposobienia dziedzicznego lub innych przyczyn, niemających nic wspólnego z daną dziedziną.“ Prawo szwajcarskie, biorąc pod uwagę ten wzgląd, obciąża odpowiedzialnością nie wszystkich fabrykantów, lecz tylko tych, których rodzaje produkcyi zaliczone są przez radę związkową do wywołujących ciężkie choroby i w takich razach, jeżeli będzie stwierdzono, iż rzeczone cierpienia wynikają wyłącznie z pracy fabrycznej.“ Do zajęć, sprowadzających choroby zawodowe, zaliczono tam następujące: wyrób zapałek fosforowych, produkcya tkacka przy użyciu machin jacquardowskich, posługujących się cyną. Wszystkie rodzaje produkcyi, w których są używane: ołów i jego połączenia, rtęć, arszenik, fosfor palony, gazy trujące, benzyna, anilina, nitrogliceryna, cyanek i jego połączenia itd. Projekt prawa rosyjskiego nie mówi ani o ograniczeniu tego rodzaju produkcyi, która wytwarza takie choroby, ani o odpowiedzialności fabrykantów tylko za te cierpienia, które wynikają jedynie z charakteru pracy. Tym sposobem, jak twierdzą interesowani, odpowiedzialność fabrykanta w każdym wypadku będzie zależeć od zdania lekarza. Przy takim stanie rzeczy towarzystwa asekuracyjne prawdopodobnie nie zechcą ubezpieczać robotników od chorób zawodowych, albo podadzą tak wysokie premia, że niepodobna będzie na nie przystać. Jeżeli zaś właściciele przedsiębiorstw przemysłowych będą postawieni pod grozą odpowiedzialności za owe choroby, to oczywiście nie zechcą trzymać i na nowo przyjmować chorych albo starych robotników. Ucierpią tedy warstwy pracujące. Ponieważ choroby zawodowe są następstwem pracy nie chwilowej, lecz długiej i stałej w ciągu wielu lat i nie w jednej, lecz w dziesięciu lub dwudziestu fabrykach, więc byłoby rzeczą niesprawiedliwą obarczać całkowicie odpowiedzialnością tylko ostatniego z zarobkodawców, któremu robotnik z nadwątlonem zdrowiem może najmniej przyniósł pożytku.

Opierając się na takich motywach, oddział łódzki Towarzystwa przemysłu i handlu żąda, ażeby choroby powyższe były zupełnie wykluczone z kategoryi „wypadków nieszczęśliwych“ — natomiast za-

liczone do „przyczyn naturalnych,“ jak np. starość, choroby dziedziczne itd. Według art. 3 „Projektu prawa,“ protokóły o wypadkach nieszczęśliwych sporządzają organy najbliższej władzy policyjnej i określają *przyczynę*. Zdaniem Towarzystwa łódzkiego, tak ważna opinia powinna być wypowiadana przez inspekcyę fabryczną. Art. 5-ty mówi, że w razie ujawnienia niezdolności do pracy, pensya dla poszkodowanego ma być wyznaczona w rozmiarach sumy zarobku całorocznego. Przy zupełnem zaś niedołęztwie—rachunek ma być wykonany wedle innej skali (wyraźnie nieokreślonej). Zdaniem oddziału łódzkiego, pensya powyższa byłaby racyonalną tylko w takim razie, jeżeliby fabrykanci mieli odpowiadać jedynie za te wypadki nieszczęśliwe, które wynikły z ich winy. Ale projekt obciąża przedsiębiorców i w takich razach, w których oni wcale nie są winni. W imię tedy sprawiedliwości i dla dobra robotników, ciężar ten należałoby możliwie złagodzić, nie o tyle wszakże, iżby pracownicy stracili podstawę istnienia. Łódzki oddział Towarzystwa przemysłu i handlu nie zgadza się z tymi fabrykantami, którzy uważają za dostateczne przyznanie robotnikowi, zupełnie pozbawionemu zdolności do pracy, tylko jego zarobku, pobieranego w ostatnim roku; podnosi więc skalę w stosunku 60% do kwoty, w ostatnim roku zarobionej, i twierdzi, że pensya taka w większości byłaby dostateczną, gdyż uniezdolnieni do pracy mogliby się przenieść na wieś, gdzie utrzymanie jest znacznie tańsze.

W niektórych fabrykach i przedsiębiorstwach przemysłowych, położonych zdala od miast, robotnicy zarabiają tyle, co włościanie, a więc pensya w stosunku 60% nie zapewniłaby im utrzymania. Należałoby tedy ustanowić jakąś normę minimalną, mianowicie: W razie zupełnej niezdolności do pracy. pensya powinna czynić 60% zarobku z ostatniego roku, z tem wszakże zastrzeżeniem, iż nie może ona wynosić mniej, niż 180 rs. rocznie dla poszwankowanych mężczyzn dorosłych i wdów, posiadających dzieci małoletnie, zanim dojdą do 12-go roku życia. (Projektodawcy nie mówią wyraźnie, czy to ma dotyczyć dziecka najstarszego, czy najmłodszego). Dalej: 144 rs. dla mężczyzn, nie posiadających dzieci nieletnich; 120 rs. dla kobiet, nie posiadających nieletnich, oraz dla chłopców i dziewczyn w wieku lat 15—20. Wreszcie 72 rs. dla nieletnich, liczących mniej, niż 15 lat. I tutaj znajdujemy niejasność: ile będzie otrzymywał taki nieletni po przekroczeniu lat 15 i czy będzie co pobierał po dojściu do pełnoletności? Projektodawcy łódzcy zastrzegają, że w razie jeżeliby wogóle zarobek z ostatniego roku we wszystkich czterech kategoryach był mniejszym od pensyi powyżej oznaczonej, to robotnik poszkodowany powinien pobierać płacę w rozmiarach całkowitej sumy, zarobionej w roku ostatnim. Co się zaś tyczy wynagrodzenia w razie niezupełnej utraty zdolności do pracy, pożądane jest, ażeby prawo dokładnie określiło normę płacy w każdym osobnym wydadku, a przynajmniej żeby dało jasne i stałe zasady dla rozstrzygania tych kwestyj na drodze sądowej.

Główne Towarzystwo przemysłu i handlu w Petersburgu przyjęło memoryał łódzki przychylnie i przesłało go do ministeryum skarbu z własnemi uwagami, które znaleźliśmy na innem miejscu wydawnictwa „Prac“ owej intytucyi. Uwagi te, jako uzupełniające tak doniosłą sprawę, zasługują na streszczenie, zbliżają bowiem kwestyę do rozwiązania. Jeszcze w r. 1881 centralny organ przemysłu i handlu poruszył sprawę polepszenia bytu mas pracujących w fabrykach, kopalniach itd. i po wszechstronnem tudzież szczegółowem jej rozpatrzeniu przyszedł do przekonania, że cel może być w pewnym stopniu osiągnięty za pomocą organizacyi dwu kas państwowych: jednej dla ubezpieczenia robotników od wypadków nieszczęśliwych, drugiej—emerytalnej. Projekt ten przedstawiono byłemu p. ministrowi skarbu, Bungemu, który przyjął go bardzo chętnie i wyraził życzenie, ażeby Towarzystwo opracowało szczegółowe dane dla urządzenia owych kas. Skutkiem tego utworzono osobną komisyę z udziałem przedstawicieli ministeryum skarbu oraz innych instytucyj i specyalistów w zakresie asekuracyi. Przy pomocy tych sił zbiorowych opracowano dokładny projekt. R. 1891 w Towarzystwie głównem znowu poruszono kwestyę, czy zachodzi potrzeba ubezpieczenia obowiązkowego robotników od wypadków nieszczęśliwych. Odpowiedź była twierdząca, poparta tem, co Europa zachodnia zrobiła u siebie w ciągu dziesięciolecia. Obawa, wyrażana przez niektórych, że przy obowiązkowej asekuracyi fabrykanci nie będą dbali o bezpieczeństwo swych robotników, jest bezzasadną, gdyż w razie kalectwa z winy przedsiębiorcy, wynagrodzenie musi być wypłacone na jego rachunek. Zresztą, po za asekuracyą, inspekcya fabryczna powinna zawsze dawać baczenie na bezpieczeństwo. Zdanie to przesłano wówczas b. ministrowi, p. Wyszniegradzkiemu, i położono nacisk na możliwie najprędsze urządzenie państwowej kasy asekuracyjnej.

Obecnie, jak wiadomo, ministeryum skarbu opracowało już całkowicie projekt prawa, obarczającego przemysłowców znaczną karą za śmierć lub kalectwo robotników. Otóż główny organ Towarzystwa przemysłu i handlu w Petersburgu, przesyłając wyższej władzy memoryał łódzki, wyraża jasno swoje zdanie: że prawo projektowane zabezpieczy byt tylko niewielkiej garstki robotników, gdy masy, cierpiące z przyczyn nieprzewidzianych lub własnej nieostrożności, bardzo łatwej przy braku oświaty i doświadczenia, pozostaną jak dotąd, bez żadnej pomocy. Ale oprócz poszkodowanych skutkiem wypadków nieszczęśliwych, jest jeszcze znaczna liczba innych, którzy po długoletniej pracy w fabrykach i zakładach przemysłowych. stracili zdrowie i siły. Owe szeregi inwalidów w znacznej większości pozostawione są losowi. Prawie do wyjątków zaliczyć należy tych, którzy otrzymują pensye z kas, urządzonych przy niewielu fabrykach.

Obecnie, dzięki memoryałowi łódzkiemu, organ centralny przemysłu i handlu zwrócił się do ministeryum z nową prośbą urządzenia obowiązkowego ubezpieczania robotników od wypadków nieszczęśliwych tudzież stworzenia dwu kas, powyżej wymienionych. W takiej fazie sprawa jest obecnie. Ponieważ materyał przygotowawczy w ciągu lat kilkunastu obficie nagromadzono, tudzież zajrzano głębiej do potrzeb życia, można więc przypuszczać, że organizacya wzmocnienia podstaw bytu mas robotniczych prędko przyjdzie do skutku.

Drog.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na przewodniczącą Kasy nauczycielek w Warszawie wybrano p. Waleryę Warnka, na wice-przewodniczącą p. Józefę Sawicką. Pierwotny kapitał z chwilą założenia tej instytucyi (16 czerwca 1893 r.) wynosił rs. 1760 k. 66. D. 1 stycznia r. b. było 4328 rs. 31 kop. Przyczyniły się do tego składki członków, ofiary, procenty od pożyczek i dochód z rautu. Przez cały czas istnienia kasy udzielonono pożyczek 157.

— We Lwowie wchodzi w życie fundacya zmarłego Feliksa Szumlańskiego, nauczyciela muzyki. Ciężko zapracowany majątek zapisał on na stypendya. Ogłoszono właśnie konkurs na 22 stypendya, po 150 złr. dla ubogich celujących uczniów średnich szkół lwowskich.

Jak się robi sława. P. Juliusz Stattler prosi nas o doniesienie, że przestał być współpracownikiem *Echa muzycznego*, gdyż redakcya tego pisma przeistoczyła mu jego sądy o występach p. Hellerówny na jej korzyść, kładąc jednak pod swojemi przeróbkami jego nazwisko. Były to względem p. H. bardzo grzecznie, ale względem p. S. gorzej, niż niegrzecznie.

Dwie wystawy — rzeźby i salon — są tak smutne, że czytelnik nic na tem nie straci, gdy dowie się o nich szczegółowo od nas dopiero w przyszłym numerze.

„Opłata alienacyjna.“ Sprawa opłaty od przelewu własności, nader ważna dla kupujących nieruchomość na licytacyi, bywa dotąd różnie tłomaczoną w Izbie sądowej warszawskiej. Niedawno właśnie sądzono dwie takie sprawy. Mierzejewski i Hofman kupili na licytacyi dobra Kruszyny za 8,325 rs. Sąd okręgowy w Radomiu zażądał od nich uiszczenia opłaty alienacyjnej w stosunku do sumy 24,354 rub., jako ceny poprzedniego nabycia. Izba warszawska, do której odwołali się nowonabywcy, zatwierdziła decyzyę pierwszą, motywując swój wyrok tem, że szacunek na licytacyi był niższym od norm szacunku prawnego, kiedy przeciwnie norma poprzedniego nabycia była najwyższą. — W drugiej sprawie Lesser Bischofswerder kupił na licytacyi dobra Dąbrówka za 22,600 rs. Sąd okręgowy w Płocku podobnież oznaczył opłatę alienacyjną od ceny poprzedniego nabycia czyli 51,000 rs., jako najwyższej. Izba sądowa warszawska decyzyę tę zatwierdziła, lecz Bischofswerder odwołał się do kasacyi i uzyskał uchylenie wyroku. Senat orzekł mianowicie, że w Królestwie Polskiem opłata alienacyjna od nieruchomości, sprzedawanych przez licytacyę, może być obliczana jedynie podług szacunku, postąpionego na licytacyi, norma zaś szacunku prawnego, podług tabeli stemplowej, ma zastosowanie tylko przy nabyciu dóbr w drodze umownej. Wobec tego Izba warszawska uchyliła decyzyę sądu okręgowego w Płocku, iż opłata w danym wypadku powinna być pobrana od 22,600 rs., czyli od szacunku, postąpionego na licytacyi.

Szkoły. Szkoła rolnicza Sobieszyńska na folwarku Brzozowa otwarta będzie 23 marca. Podania o przyjęcie powinny być składane na ręce zarządzającego (poczta Iwangród gub. Siedlecka) najpóźniej do 7 marca. Należy przytem dołączyć świadectwo lekarskie o stanie zdrowia i szczepieniu ospy, świadectwo władzy policyjnej o stałem miejscu zamieszkania i konduicie; wreszcie zobowiązanie piśmienne rodziców lub opiekunów, że opłatę szkolną wnosić będą regularnie. Do klasy 1-ej, jedynej w tym roku, może być przyjętych 20 uczniów, którzy otrzymają mieszkanie żywność, ubranie, i naukę za opłatą 100 rs. rocznie w ratach kwartalnych po 25 rs. z góry. Uczniowie przychodni płacą po 6 rs. rocznie w ratach półrocznych po 3 rs. Na koszcie Towarzystwa osad rolnych, jako stypendystów, utrzymywanych będzie w r. b. pięciu. Kandydaci powinni liczyć najmniej lat 14 i najwyżej 18, posiadać zdrową budowę ciała i wiadomości z przedmiotów ogólnie kształcących w zakresie szkół elementarnych dwuklasowych.

Koleje i komunikacye. Taryfy strefowe już po roku wydały świetne rezultaty, pomimo że reforma wymagała na razie pewnych nakładów i że nawet przewidywano straty w okresie początkowym. Według informacyj, złożonych przez zarządy kolejowe p. ministrowi komunikacyj o sprzedaży biletów pasażerskich i o dochodzie z tego źródła, okazało się, że w roku 1895-ym sprzedano 42 mil. biletów i otrzymano za nie 58 mil. rubli. W r. 1893-im sprzedano 43 mil. biletów za 50 mil. rubli. W ten sposób pierwszy rok zastosowania taryfy strefowej pasażerskiej wydał już takie wyniki, jakich prawie trudno się było spodziewać. Chociaż bowiem na dłuższych dystansach taryfę zniżono do 75%, mimo to zysk powiększył się o 8 milionów rubli, przyczem wydatki kolei na rozszerzenie taboru ruchomego i pomnożenie pociągów były minimalne i tylko większe wydatki poniosły zarządy na sporządzenie biletów tudzież drukowanie nowych tablic opłat przewo-[illegible]

Wypadki. Według depesz z dn. 25 b. m. w gubernii Kutaiskiej spadło dużo śniegu, który zburzył wiele domów. W Kutaisie i Batumie ruch na ulicach jest

prawie niemożliwy. Rzeki zagrażają Batumowi, wszędzie obawiają się wylewów z nadejściem cieplej pory.

— Z Londynu donoszą, iż w Johannesburgu dn. 19 b. m. zdarzył się straszliwy wybuch w pociągu towarowym, którego siedem wagonów mieściło dynamit. Członki rozszarpanych ludzi i zwierząt, szczątki drzewa i żelaza pokryły całe przedmieście Fordsburg. Szpitale przepełnione rannymi. Kilkaset domów runęło. Na szerokim obszarze wszystko zrównane z ziemią. Do szpitalów przywieziono przeszło 200 osób.

Zmarli. Alojzy Berla, w Wiedniu, autor popularny na polu dramatopisarstwa ludowego.

— Władysław Wszelaczyński, we Lwowie; muzyk wybitny, pedagog wytrawny. Pozostawił sporo utworów muzycznych i prac literackich o muzyce.

Odpowiedzi Redakcyi.

Ekonomistce. Poruszymy.

Panu K. W. w Monachium. Odpowiedzieliśmy już, że drukować nie będziemy, gdyż mamy stałego sprawozdawcę, a rękopis zachowujemy do [illegible] przesyłki [illegible] nieprzyjętych rękopisów, gdyż to wyniosłoby znaczną [illegible]

Nauczycielka muzyki, za której wyjątkową umiejętność uczenia redakcya *Prawdy* poręcza, poszukuje lekcyi. Bliższych objaśnień udzieli administracya.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. Bl. Al. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 16 Февраля 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.